Nr. 55. Lwów — Czwartek dnia 7 Marca. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach it. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 10 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Tomasza z Ak. | Połykarpa
Jutro: św. Jana Boż. | O. hoł. ś. Joana

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca g. 6 m. 38
Zachód „ „ 5 „ 47

Długość dnia g. 11 m. 9
Przybyło dnia od wczoraj m. 4

Ponieważ I kwartał ma się ku końcowi, przeto upraszamy naszych prenumeratorów z prowincyi o wczesne odnawianie przedpłaty. Wynosi ona z przesyłką pocztową na prowincyi:
Miesięcznie 1 zł 10 ct.
Kwartalnie 3 „ 30 „
Półrocznie 6 „ 60 „
Rocznie 13 „ 20 „
Za każdą zmianę adresu należy zapłacić 20 ct.

Przegląd polityczny.

Lwów 6 marca.

Na wielu chorych piersiowych, którzy zamierzali szukać w Egipcie zdrowia, albo bodaj jeszcze trochę życia, spadła niedawno wiadomość straszna, jak wyrok śmierci, że w Aleksandryi, Kairze i innych nad-nilowych miast ch zanosi się na rzeź Europejczyków przez miejscową fanatyczną ludność i że powtórzą się tam przerażające sceny mordów, pożogi, a potem bombardowania i twardej represyi, słowem to wszystko, czem w historyi egipskiej upamiętnił się rok 1882-gi. Jakże było choremu jechać do takiego kraju, jak krewnym jego puścić go tam, gdzie zamiast ulgi mógł znaleźć nóż fanatycznego mordercy? Dużo nieszczęścia i zawiedzionych nadziei sprawiła ta wiadomość w całej Europie, niemało i u nas, chociaż nasi chorzy na piersi jeszcze nie ciągną do Egiptu tak licznie, jak inne północne narody. Mówiono wszędzie, że Fellah zaciska zęby i dziko błyszczącym wzrokiem spogląda na obcych; że go rozsadza długo tłumiona nienawiść i że lada chwilę, nóż podniósłszy, rzuci się na „giaurów“ z piekielnym wrzaskiem. Dodawano, że młody chedyw Abbas sprzyja tym zamiarom, tajonym do czasu, że je podsyca i sam nawet do tego spisku należy, aby takim ruchem ludowym otrząsnąć się z nienawistnej opieki Anglików. To wszystko opowiadały londyńskie dzienniki, które przecież najlepiej muszą wiedzieć, jak jest w Egipcie. A że chedyw już dwukrotnie zadzierał z Anglikami i za każdym razem miał za sobą ludność; i że oprócz tego było faktem, iż Abbas zagroził dymisyą gabinetowi Nubara, posłusznemu na każde skinienie „protektora“ lorda Cromera, — przeto tym zatrważającym wiadomościom uwierzono wszędzie.

A jednak były one od początku do końca zmyślone przez Anglików i to z rozmysłem. Postanowili oni jeszcze mocniej wziąć Egipt w swoje kleszcze, jeszcze lepiej przygotować zupełny zabór tego kraju, co jest ich ostatecznym celem, tem naglejszym, że Włosi ze swej Erytrei, dzięki zwycięstwom Baratieri'ego, zanadto wielkie czynią zawojowania i mogą zagarnąć cały górny bieg Nilu z Chartumem, uważanym przez Anglików od bohaterskiej śmierci Gordona za miasto im wydarte nieprawnie przez mahdzistów. Więc potrzebowali powiększyć swą załogę, bo na miejscowe wojsko, złożone z arabskich i fellahowskich żołnierzy, a tylko dowodzone przez angielskich oficerów, liczyć oczywiście nie mogli. Gdyby jednak powiększyli tę załogę bez żadnej uczciwej racyi, mógłby powstać hałas, protest Turcyi, Francyi i zapewne Rosyi. Zamiar możeby się nie udał. Więc trzeba było wymyślić jakiś dobry pretekst — i oto krzyknięto w Londynie, że tysiącom Europejczyków grozi rzeź w Egipcie; zapłacono korespondentów, aby ten krzyk roznieśli po całym świecie; postarano się nawet o chwilowy spadek egipskich papierów na paryskiej i londyńskiej giełdach; całe to kłamstwo zorganizowano zawczasu, powoli, z zimną krwią wytrawnych aktorów politycznych; wykonano je świetnie, ensemble był niezrównany — i nastąpiło powiększenie załogi pułkami przysłanymi z Malty i Cypru, a zatrwożona Europa o jedno się tylko niepokoiła, ażali owe pułki nadejdą w porę, aby zapobiegły rzezi.

W porę przybyły. Zapobiegać nie potrzebowały niczemu, bo o rozruchach nikt nie myślał w Egipcie, ale przybyły w porę, bo jeszcze zanim w Europie przejrzano kłamstwo. Dopiero wtedy ze szczerością cyniczną oznajmiła Anglia, że fałszem było wszystko, co mówiono o wzburzeniu ludności egipskiej, bo owszem ona aż tonie w szczęściu i pomyślności pod mądrym zarządem angielskim. Wprawdzie chedyw Abbas po raz trzeci próbował oprzeć się Cromerowi, ale już się uspokoił i za pokutę sam odbędzie przegląd pułków, sprowadzonych świeżo na nieszczęście jego kraju. Rzeczywiście, tak jest: Abbas się upokorzył znowu, Cromera przeprosił, Nubara zostawił szefem gabinetu, sprowadzone pułki obejrzał, pochwalił i angielskiemu jenerałowi naczelnemu powiedział kilka komplementów. Ale nienawiść jeszcze głębiej zapadła w jego serce, o czem sądzić można z tego, że — jak *Times* donosi — zakazał na swym dworze wspominać o Anglikach. Donoszą o nim także, że ostatnia intryga angielska, zrobiona dla sprowadzenia pułków, ostatnie upokorzenie, którego doznał, tak go rozdrażniło, że począł często, a w tajemnicy przed swymi ministrami i Cromerem naradzać się z przedstawicielem Francyi. Jeśli on liczy na nią, to zapłaci rozczarowaniem takiem, jak nasze w 1863cim. Zdaje się, że historya opieki angielskiej nad Egiptem zbliża się do nowego okresu, którego nazwa: zabór.

Egipcyanie mają wszelkie prawo patrzyć na Anglików z odrazą. Sztywni, odpychający, egoistyczni, dumni ogromnie, ale nie tą wyższych natur dumą, która pochodzi z wysokiego poczucia godności ludzkiej, lecz tą próżną, wynikającą z przekonania, że człowiek zaczyna się dopiero od Anglika: — są oni pijawkami Egiptu, jego moralnem i ekonomicznem nieszczęściem, równem tym plagom, które nawiedziły tę ziemię za faraonów. Zmarły w sobotę Izmael, dziad teraźniejszego chedywa, ściągnął na swój kraj to nieszczęście, sam za to utracił tron i ojczyznę, której nie pozwolono mu ujrzeć nawet przed zgonem, choć o to błagał na śmiertelnem łożu, a synowi Tefwikowi i wnukowi zgotował ciężką niedolę. Przebaczył mu syn i wnuk, który bardzo chciał, aby umierający ujrzał swe rodzinne niebo; ale nie przebaczyli mu Anglicy i nie pozwolili mu wrócić do kraju przed zgonem. Narobił on dużo długów, zaszargał finanse kraju, nie mógł płacić procentów od papierów egipskich, Anglicy zaś kupowali te papiery za bezcen na wszystkich giełdach i kiedy już się stali głównym kredytorem Egiptu, wtedy najpierw wspólnie z innemi mocarstwami utworzyli w Kairze międzynarodową kontrolę nad finansami kraju, a ponieważ Izmael opierał się tej obcej gospodarce, więc go wypędzili, potem zaś powoli zawładnęli wszystkiem, korzystając z błędów francuskich, zaprowadzili okupacyę, a teraz pomału i systematycznie przygotowują się do zaboru. Naród drą ze skóry, aby swoim kapitalistom płacić procenta od papierów egipskich, a za tę fatygę sami są szarańczą pożerającą pracę Fellaha. Namnożyli posad bez liku i wszystkie, oprócz całkiem podrzędnych, obsadzili swoimi, a płacą ich tak, że naprzykład p. Scott, sędzia główny, bierze 5600 funtów szterlingów, czyli około siedmdziesięciu tysięcy zł. rocznie, a te pensye płacone są nie z angielskiego, lecz z egipskiego skarbu. Stało się zwyczajem, nawet regułą, że urzędnik angielski, znajdujący się czy to w samej Anglii, czy w Indyach, czy w Kanadzie, słowem gdziebądź w posiadłościach brytańskich, jeśli sam zapadł na chorobę piersiową, albo ma kogo w swej rodzinie chorego na taką słabość, to wnosi do rządu prośbę o przeniesienie go do Egiptu i nigdy nie doznaje odmowy. Jeśli nie ma wolnej posady, to lord Cromer wnet ją tworzy i ów Anglik otrzymuje żądane stanowisko, oraz koszta podróży dla całej rodziny, a zawsze z egipskiego skarbu. Robi się to jawnie, bez żadnej żenady, bo Anglicy wcale nie przeczą temu, że są pasożytami na egipskiem ciele. Ich moralność jest moralnością każdego lichwiarza, który do ostatka ssie swego dłużnika i nie widzi w tem nic złego. Nawet religia nie zabrania mu tego, bo on przez swą specyalną dumę nie widzi bliźniego w człowieku innej narodowości, a człowieka nie widzi w istocie, mającej czarną, bronzową albo żółtą skórę. Komu się wyda to zdanie przesadnem, niech przypomni, jak emigranci angielscy tępili czerwonoskórych północnej Ameryki. Wszakże faktem jest, że ich wytępili, czego nikt inny nigdzie nie potrafił, nawet hordy tatarskie i huńskie, nawet „Bicz Boży“ Bajazet, który z głów ludzkich układał piramidy, widne — jak podanie niesie — o milę. Anglicy nazywają egipskiego Fellaha i Araba bydlęciem, nie przez pogardę, ale z przekonania. A jeśli nikt się nie wstydzi doić krowy i skubać z puchu żywej gęsi, to dlaczego Anglik nie ma z czystem sumieniem i całem poczuciem swej cywilizacyjnej doskonałości wyzyskiwać egipskiego, albo indyjskiego bydła!... To dziś jest treścią kwestyi egipskiej.

Korespondencya londyńska, umieszczona w przedostatnim (53-im) numerze *Przeglądu*, omawia ważne dla wewnętrznych angielskich stosunków wybory do rad hrabskich. Korespondent nie stawiał żadnych horoskopów co do rezultatu tych wyborów, które miały się odbyć po wysłaniu jego listu, tylko scharakteryzował oba stronnictwa, walczące o większość. Więc wykazał, że tak zwani „moderanci“ i umiarkowani, stanowiący w obu poprzednich kadencyach bardzo nieliczną opozycyę, nie mają jasnego programu, a zatem nie mogą nim pociągnąć do siebie wyborców; natomiast postępowcy, którzy w owych dwóch kadencyach tworzyli ogromną większość i należą do tego samego obozu, który w parlamencie popiera gabinet lorda Roseberyego, mają za sobą szereg ważnych dokonanych ulepszeń we wszystkich dziedzinach gospodarki i drugi taki szereg reform wytknęli sobie na przyszłość, a zatem prawdopodobnie powinni zdobyć większość. Tak mówi logika i ekonomiczna praktyczność, która nie pozwala usuwać dobrych gospodarzy. Ale widocznie weszło w grę polityczne zniechęcenie do tego obozu, który dobrze kierując sprawami powiatowemi, marnuje swe siły w parlamencie na bezpłodną walkę z izbą lordów i na forsowanie odrazu takiego mnóstwa reform, że na przeprowadzenie ich bez wstrząśnień potrzebaby nie jednej i nie dwóch kadencyi, ale długiego lat szeregu. I oto wybory do londyńskiej rady hrabskiej, najważniejszej w państwie i uważanej niejako za barometr usposobienia ludności, dokonane w sobotę, dały taki rezultat: postępowców 57, umiarkowanych 51 i podlegających powtórnemu wyborowi 10. A zatem imponująca dotąd większość postępowców zmalała nadzwyczajnie i po uzupełniających wyborach może się stanie mniejszością. Jeżeli się zważy, że ludność wielkich miast zawsze jest bardzo skłonna do radykalizmu, to wybory te są silnym dowodem odwracania się opinii do ministeryalnego stronnictwa i zapowiadają bardzo wyraźnie, jak we właściwym czasie wypadną wybory do parlamentu. Ta perspektywa pewnie nie doda hartu gabinetowi. Więc te wybory do rady hrabskiej mają jako *signum* usposobienia opinii ważne polityczne znaczenie i dlatego notujemy ich wynik.

Korespondencye.

Warszawa 28 lutego.

Chociaż przysypane niezwykłemi masami śniegu, żwawo się ruszało przez zimę to nasze, już nie wielkie miasteczko, jak je niektórzy uparci pessymiści do niedawna zwali — ale prawdziwie wielkie miasto. Owo satyryczne nazwanie, chociaż może mogło mieć nieco słuszności przed dwudziestu, lub kilkunastu jeszcze laty, straciło obecnie wszelką racyę, wobec szybkiego wzrostu Warszawy, dowodzącego niezwykłej jej żywotności. Obecnie Warszawa jest trzeciem miastem na całym obszarze państwa rosyjskiego, a liczba jej mieszkańców dosięgła cyfry 511.000. Przed dwudziestu laty ludność jej wynosiła zaledwo 270.000, przeciętnie więc przybywa rocznie 12 000 osób, t. j. tyle ile wynosi ludność sporego miasta prowincyonalnego. Podniesienie się Warszawy, większego jeszcze znaczenia nabierze skoro zważymy że z nią idzie w parze wzmożenie się produkcyi przemysłowej, która przed dwoma dziesiątkami lat przedstawiała wartość 15,600.000 rubli, a w r. 1893 już 29.000.000 rubli. Tego nawet najzawziętsi pesymiści nazwać nie mogą zastojem.

Za podniesieniem się miasta ilościowem i jakościowem, idzie też zwiększenie się potrzeb wielkomiejskiego komfortu. I tak — jak to już przed rokiem zaznaczyłem — ze zbliżaniem się każdej niemal wiosny, z masy topniejącego śniegu, jak bajeczny wąż morski, wychyla głowę — projekt oświetlenia Warszawy elektrycznością. Zgodnie z tą tradycyą i teraz poczyna już odżywać projekt ów, naturalnie, jak co roku, naprzód o krok posunięty, gdyż mianowicie wypracowano już projekt koncesyi. Tego roku jest jeszcze jedna odmiana w powtarzaniu znanej piosnki, mianowicie, że wraz z kwestyą elektrycznego oświetlenia, poruszono potrzebę zaprowadzenia elektrycznego motoru na Warszawskich tramwajach. Przykład Lwowa, który podziałał nawet na większe, niż nasze miasta, mianowicie na Berlin, sprawił, że i u nas w owej dyskusyi najchętniej się oświadczano za systemem górnego prowadzenia prądu na wzór Lwowa. Zapewne jednak, iż jeśli wozy z akumulatorami, próbowane właśnie w Wiedniu, okażą się równie praktycznymi, sympatye tutejszych fachowców przechylą się na tę stronę.

Wspomniany poprzednio ekonomiczny rozwój Warszawy dokumentują coraz to nowe fabryki, powstające tutaj. Obecnie jeden z warszawskich kapitalistów podniósł projekt fabryki piór stalowych i zamierza już w tym roku wprowadzić go w życie. W szeregu więc, w którym obecnie o ile wiemy stoją tylko Stany Zjednoczone, Anglia, wreszcie w Austryi Wiedeń, stanie i Warszawa jako ognisko wyrobu tych drobnych narzędzi do szerzenia nauki oświaty, humoru i... żółci.

W ślad jednak za korzyściami idą i niekorzyści ze wzrostu miasta a jedna z nich bardzo wprawdzie prozaiczna, jednak wielce nas obchodzi, bo odbija się na naszych żołądkach. Jest nią fałszowanie artykułów spożywczych na wielką skalę. Niedawno przy rewizyi składów przekonano się, że trzy czwarte win warszawskich nie mają w sobie ani kropli wina a z czerwonych niemal wszystkie jeżeli już nie anilinie zawdzięczają swą barwę, to matką im była poczciwa borówka. Gorzej jeszcze bywa z herbatą. Niemal wszystka sprzedawana przez żydów Chin wcale nie widziała, ale za to w młodości swojej cieszyła się blaskami słońca polskiego i poiła dźwiękami fujarki pastuszej, szemrząc w wietrze, jako... liście wierzbowe. A jaki chleb jadamy! N. p. z pod Słupcy donoszą, że agent jednego z tutejszych handlarzy zboża w tamtej okolicy nabywa bardzo chętnie kąkol, płacąc po cenie 50 kop. za korzec. Kupiec ów oświadcza podobno, że „taki produkt i po takiej cenie zawsze będzie miał w nim chętnego nabywcę“. W tych dniach kupiec ów nabył 10 korcy kąkolu. Na co mu się on przyda? — spyta czytelnik. Odpowiedź krótka: do zmięszania z żytem lub pszenicą. W ten sposób kupno kąkolu bezużytecznego jest dla niego wybornym interesem a my odpowiadamy za to naszemi podniebieniami i żołądkami.

Natomiast na słoninie tego roku to możemy już użyć do syta. Od niepamiętnych lat nie było w Warszawie tak wielkich zapasów słoniny w składach rzeźnickich, jak obecnie. Dość powiedzieć, że kiedy funt żywej wagi wieprza kosztuje obecnie kop. 11, to słoninę sprzedają po tej samej cenie, a nawet niżej. Wyższą więc cenę można uzyskać na targu tutejszym za sztuki chudsze, niż za tuczone. Nawet całkiem chude, byle nie stare wieprze, znajdują liczniejszych nabywców, niż tłuste, bo na słoninie rzeźnicy tracą. A przed Wielkanocą cena trzody średnio tuczonej pójdzie jeszcze bardziej w górę.

W zabawach i zebraniach publicznych wprowadzono tego roku nowość. Jest nią tak nazwane tu „Veglione“, t. j. rodzaj rautu w połączeniu z tombolą i z maskaradą na cel dobroczynny. Zabawa się powiodła, kostyumów było wiele pięknych, za to maski noszono w rękach. Jednak rozsportowana na dobre Warszawa, która w zimowych miesiącach mogła cieszyć się jednym tylko sportem łyżwowym i to z wielkiemi przeszkodami w obec śniegu i zawiei, czeka niecierpliwie wiosny i ciepła, kiedy w swoje prawa wejdą: warszawscy piechury, siłacze, wioślarze i najsympatyczniej zawsze witani cykliści. Ci ostatni nabrawszy już także europejskiego rozmachu, w dziesięciolecie istnienia swego Towarzystwa zapowiedzieli na lato międzynarodowy wyścig dystansowy z Warszawy do Kalisza i na powrót, t. j. na przestrzeni 454 wiorst czyli 484 kilometrów.

Wspominani już przezemnie atleci, którzy w Warszawie mają własny klub, odbyli i tego roku publiczny popis, w którym wziął udział także Pytlasiński. Popisywał się on w rzucaniu jedną ręką 240 funtowego ciężaru, a na współ z szwajcarskim atletą p. Balissatem w boksowaniu i w zapaśnictwie. W tej ostatniej „sztuce“ jak wiadomo Pytlasiński jest arcymistrzem, położył wszakże w swoim czasie najgłośniejszego siłacza Absa, a w ostatnich latach poczynił jeszcze znaczne postępy. Mimoto na popisie p. Pytlasiński chociaż kilkakrotnie już „kładł“ dawniej Balissata, pozostawił walkę nierozegraną jak sam zapowiedział, nie chcąc robić przykrości gościowi. Pytlasiński jest więc zapaśnikiem szlachetnym, nie ma jednakże szczęścia do równie szlachetnych przeciwników. Przypominam, że w Budapeszcie jakiś Grek, nie mogąc go pokonać chwycił go za nos, a podobna przygoda zdarzyła się naszemu siłaczowi w Łodzi. Pewien atleta amerykański wyzwał go na publiczną walkę i chcąc bądź co bądź zwyciężyć, wykręcił mu rękę tak, że ją zwichnął w kostce. Powstała awantura, Pytlasiński oburzony, choć ze zwichniętą ręką byłby mocno poturbował Amerykanina, na szczęście obecni rozdzielili zacietrzewionych zapaśników.

?

---

4)

ILUZYA

OPOWIADANIE

przez *Zofię Kowerską*.

(Ciąg dalszy).

— Z kimże to mam tańczyć? — zapytałem opryskliwie.

— Z Amelką Kierwiczówną. Ona nie lubi tańca, ale mazura tańczy prześlicznie. Mówię ci, płynie, jak woda, bez podskakiwania. No, wprost idealnie!

— Wcale nie będę tańczył pierwszego mazura!

— Ależ, mój Władziu...

Przerwałem ciotce niecierpliwie:

— Dlaczego mnie ciocia nie prezentowała pannie Zofii Zbroińskiej?

— Ej, co tam, taki dzieciak!

— Dzieciak? Ileże ona ma lat?

— Ośmnaście, ale ma starsze siostry... Jednem słowem, to towarzystwo dla Bolka nie dla ciebie. Takie to jeszcze postrzelone, takie niewyrobione, przytem żywe srebro dziewczyna. Mówię ci, że nie znalazbyś żadnej przyjemności. Mój Władeczku, tańcz pierwszego mazura z Amelką! Ja już przyrzekłam za ciebie.

Ruszyłem ramionami.

— Cóż mam robić? — rzekłem. — Widzę, że to do szczęścia cioci potrzebne, więc ulegam. Ale gdzie mię ciocia prowadzi?

— Chodź-że do Amelki!

— O, co to, to nie! Odbędę pańszczyznę mazurową, ale żebym miał jeszcze rozmawiać... Za stary jestem na rozmowę z pannami. To dobre dla takich Bolków!

— Więc gdzież chcesz iść?

— Nie skończyłem jeszcze mego zatargu z panną Zbroińską.

— Cóż tam za zatarg? Może ja to załatwię? Mówię ci, że w rozmowie z tą dziewczyną nie znajdziesz przyjemności. Powiem ci tak, między nami, to jeszcze okropnie głupie!

— Moja ciociu... ośmnaście lat...

— Bywają i w ośmnastu latach myślące dziewczyny. Amelka w jej wieku była tak rozsądna, jak jest dziś. Ale to, jakieś postrzelone stworzenie!

Aha! Ciotka Ludwika bała się, bym się Zosią nie zajął, na czem musiałby ucierpieć jej projekt co do podsunięcia mi Amelki.

— Może postrzelona, ale bardzo ładna — ozwałem się. — Że też ja nie słyszałem, że między pannami Zbroińskiemi jest jedna, wcale do ludzi podobna.

— Nie do ludzi, ale do dzieci. Cóż w niej zresztą ładnego? Mój Władziu, gdzie ty masz oczy? Małe to, nie ma postawy, nie ma spokoju w ruchach.

— Może ciocia ma słuszność, ale żeby to uznać, trzeba mi się bliżej tej dziewczynie przypatrzeć.

— Mówię ci, że nie znajdziesz żadnej przyjemności.

Na szczęście, wezwano ciotkę. Jakiś spóźniony gość wchodził do salonu.

— Zobaczę, czy nie znajdę żadnej przyjemności — myślałem, zdążając ku Zosi.

Już samo to dążenie ku niej sprawiło mi niewymowną przyjemność. Myślałem z rozkoszą, że na jej koralowe usteczka wywołam uśmiech, że usłyszę srebrną gamę, którą się objawiała jej wesołość. Boże! Jakie też to bywają ładne stworzenia na świecie!

Usiadłem koło niej. Poprostu odesłałem Bolka pod pierwszym lepszym pretekstem, a sam usiadłem. Począłem jej wmawiać, że znam doskonale i oddawna Józię Nolczyńską, że od niej wiem, iż są przyjaciółkami od serca.

— Dlaczego Józia nigdy mi o panu nie mówiła?

— Cóż tam mówić o takiej mizernej figurze, jak ja? Ale panna Józefa zaszczycała mnie swojem zaufaniem.

— To pan ją pewno poznał, gdy przeszłej zimy bawiła w Warszawie...

— Właśnie. Zwierzyła mi nawet pewną tajemnicę...

— Jaką? Ja wszystkie jej tajemnice znam.

— Wiem, jakiście panie ślub zrobiły co do małżeństwa.

— Co? Ona to panu powiedziała? To nie może być! Myśmy sobie dały słowo, że nie powiemy nikomu.

— Zkądżebym wiedział?

— Prawda! Ale ja nie mogę uwierzyć. To byłaby okropna zdrada!

— „Rzadki jest wierny przyjaciel!“ Wiem to od czasów, gdym to w dzieciństwie po dziesięć razy pisał na jednej stronicy kajetu kaligrafii.

— I ja to pisywałam!

— A jednak pani się tem nie przejęła.

— Nie, nie! Ja temu wierzyć nie mogę. Józia niezdolna jest do zdrady!

— A jednak ja wiem.

— Cóż pan wie?

— Żeście panie postanowiły nie iść za mąż...

Zosia załamała ręce z prawdziwą rozpaczą.

— Mój Boże! — mówiła z żalem — więc doprawdy nikomu wierzyć nie można, nikomu! Nawet przyjaciółce od serca! Ja Józi tak ufałam!...

Biedne dziecko było naprawdę zmartwione. Wesołe przed chwilą czarne oczy stały się naraz takie smutne, że aż mi się chciało przygarnąć to stworzenie do piersi i na pociechę w oczęta po kolei pocałować.

— Ach! ta Józia, ta Józia! To nic, że naszą tajemnicę wydała. Cóż to komu szkodzi, że my za mąż iść nie chcemy i że będziemy razem mieszkać i wychowywać sieroty; ale to okropność, że ona powiedziała to panu i nawet mi się do tego nie przyznała, nawet nie widziałam w niej żalu! To okropność, że ona do końca udawała, że tajemnicy przed nikim nie zdradziła!

Wyznałem jej w końcu, że to ja skłamałem, żem ją podszedł. Gniewała się, ale w końcu się ułagodziła.

— Aa, chwała Bogu! — mówiła. — To, że pan mię zdradził, to nic! Przecie ja pana widzę po raz pierwszy w życiu! Ale coby to było dla mnie, gdyby mię była zdradziła Józia! Jabym chyba była dziś nie tańczyła wcale!

Czułem, że byłbym poprostu zbrodniarzem, gdybym ją był tańca dnia tego pozbawił..

— Doprawdy? — rzekłem — pani byłaby to tak bardzo odczuła?

— Bo pan nie wie, jak my się z Józią kochamy!

— Władziu, Władziu!

To mnie znowu ciotka wołała. Widocznie znieść nie mogła, że ja koło Zosi siedziałem.

— Mój Władeczku, przypomniałam sobie... wczoraj obiecałam Amelce, że ty jej wytłumaczysz, co to jest zodyak. Ja tego nie pamiętam, a może nigdy nie wiedziałam. Czytałam nieraz, że słońce wstępuje w znak ryb, albo w znak lwa, ale dla czego słońce to robi i co mu po tych rybach, z tego wcale nie zdaję sobie sprawy. I jakoś mi z tem dobrze, ale ta kochaneczka wczoraj się dopytywała... Prawda, Władeczku, że ty wiesz, co to jest zodyak?

Taki miałam wstręt do pozosawania przy Amelce, żem się wykręcił.

— Wiem, co zodyak, ale widzi ciocia... tego się pannom nie mówi... mianowicie o koziorożcu!...

Ciotka wzięła to za dobrą monetę.

— A, to ja tego nie wiedziałam! Dobrze, że mi powiedziałeś!

— Zresztą ja muszę grać do tańca. Obiecałem zastąpić orkiestrę.

Siadłem do fortepianu i zagrałem walca.

Zaczęły się tańce, a ja, oczy od klawiszy odwracając, śledziłem gdzie fruwała sukienka koloru śmietanki, sukienka czarnookiej dziewczyny.

O, ten Bolek! Wciąż go tylko widziałem obok Zosi. I znowu się śmieli! Może ze mnie. Smutna jest rola tapera na wieczorze, ale przecie przez samą wdzięczność...

Nareszcie zjawiła się muzyka. W samą porę, bo choć udawałem, że mnie taniec już męczy i choć zwykle na wieczorach uciekałem do męskich pokojów, teraz tak mi się chciało jednego tura walca z Zosią, że byłbym się czuł nieszczęśliwym, gdybym go był nie dostał. Szepnąłem orkiestrze: „walca!“ — pobiegłem ku Zosi i za chwilę miałem w mojem objęciu stanik sukienki koloru śmietanki.

Mówię pani najsumienniej, że w tej chwili nie miałem bynajmniej lat trzydziestu jeden, ale miałem ich znowu dwadzieścia. Czułem, że mię taniec nie męczy, że walc to była genialna instytucya. Bo niech sobie mówią, co chcą! Opasać ramieniem kibić uroczej dziewczyny, mieć jej główkę blisko swej piersi i zawrócić sobie głowę nią i wirem tańca, to rozkosz! Czułem też, że mi się głowa zawraca na dobre, że malinowa buzia nawpół otwarta, oddychająca śpiesznie, pociąga moje usta, że mi się chce szepnąć: „Zosiu!“ Całe szczęście, że byłem dobrze wychowanym i zupełnie dystyngowanym młodzieńcem. Odprowadziłem moją danserkę, która zmęczona mówiła:

— Pan jeszcze lepiej tańczy, niż gra walca!

Nadbiegał Bolek, zaczynano mazura. Poczułem się smutny i jakby złapany. Trzeba było iść do Amelki.

Cały czas mazura spełniałem obowiązki, zaciągnięte względem niej, a uciekałem co chwila do Zosi, jak mąż niewierny, zachowujący wszakże pozory dobrego pożycia. A zazdrościłem Bolkowi!

Nie będę pani opisywał mojego drugiego mazura. Przeszedł mi on, jak sen. Rozmawialiśmy z Zosią o rzeczach poważnych, o książkach, które czytała. Jej byłbym najchętniej wytłómaczył zodyak i ryby, w których znak słońce wstępuje!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Szkoda, że p. Pytlasińskiego boli ręka, bo jego siła przydałaby się do wymiatania spirytystów, którzy grasują coraz bardziej w Warszawie, a nawet po prowincyi zapuszczają korzenie. Niedawno w radomskiem narobił hałasu jakiś „spirytysta“ p. S., przybyły z Berlina. Prowincyonalnej publiczności zawrócił głowę zwłaszcza „cud“, wykonany przez niego w dworze wsi Komorowa. Oto opis faktu, jak go jeden z widzów nam przedstawiał: Wszyscy goście przeszli do oddzielnego salonu, dobrze oświetlonego. Wprowadzono doń 20-letniego chłopca, a obecny dr. L. po zbadaniu, uznał go za zupełnie zdrowego. Przyniesiono długi płócienny worek. W obecności kontroli wsadzono weń medyum, poczem zawiązano worek silnie, opieczętowano i położono na wznak na sofie. P. S. zbliżył się do leżącego w worku, zrobił kilkanaście nad nim w powietrzu „passów“, a po chwili ciało jego zaczęło się wyprężać i doszło do stężenia (katalepsyi). Następnie p. S. objawił, że na żądanie, ów chłopiec przez eteryzacyę przeniknąć może nietylko worek, w którym jest umieszczony, ale nawet ściany domu. Pozostawiwszy tedy przy zahypnotyzowanym dwóch kontrolerów, p. S. poprosił resztę towarzystwa do sąsiedniego salonu, również dobrze oświetlonego. Tutaj na terrakotowej posadzce postawiono duży drewniany kufer, zamknięty na klucz. Na kufrze usiadł dr. L., reszta zaś osób w około kufra. Drzwi pomiędzy salonami zamknięto na klucz. Zapanowała cisza. P. S. począł robić wywoływania rękami od drzwi w kierunku kufra. Po upływie niespełna pięciu minut, kontrolerzy zahypnotyzowanego z wielkim przestrachem poczęli dobijać się do drzwi, a gdy je otworzono, oznajmili o zniknięciu medyum z nierozwiązanego worka. Wówczas p. S. z przeraźliwym trzykrotnym świstem nakazał zeteryzowanemu niewidzialnemu zmateryalizować się w kufrze. Nagle usłyszano silne stuknięcie w kufrze, a po otworzeniu go, ukazał się na dnie zahypnotyzowany, przed chwilą zawiązany w worku.

Pokazuje się przecież, że przyda się czasem chodzić do cyrku. Mnie np. właśnie dlatego ów „cud“ wcale nie wydaje się cudownym. Widziałem bowiem raz w cyrku, jak dwaj klowni na środku areny w oczach widzów wykonywali z niezwykłą zręcznością eksperyment zupełnie podobny do powyżej opisanego. Wśród publiczności powstało naturalnie zdumienie, które się jednakże zmieniło w śmiech homeryczny, skoro klowni natychmiast powtórzyli eksperyment, objaśniając, w jak prosty sposób go dokonywują i tak się pokazało, że „cudu“ dopełnia tylko — łatwowierność widzów.

Ale tej łatwowierności publiczności prowincyonalnej nie ma się co zbytnio dziwić, skoro ta wada bardzo dotkliwie dała się niedawno uczuć u nas tym, co najmniej powinni być łatwowierni, tj. prasie. Do tutejszych dzienników porozsyłał ktoś utwory poetyczne, jako próbki autorskie chłopaka wiejskiego, który wrzekomo umiejąc zaledwo czytać, w 14 roku już objawia niezwykłe zdolności poetyckie. Każdy z dzienników dostał inne próbki talentów samouka. Większość ich uwierzyła temu, wystąpiła z osobnymi artykułami o „niezwykłym cudownym talencie“, jeden z tygodników podał nawet, że młodziutki autor nazywa się Hyc, zamieścił krótki życiorys chłopca, wreszcie zawiadomił czytelników swoich, że „już się znaleźli ludzie dobrej woli, którzy talentem szczerze się zaopiekowali“. Radości jednak krótkie dni były, pokazało się bowiem, że to ktoś poprzepisywał poezye znanego w Warszawie autora Or-Ota (Artura Oppmana) i obdarzył niemi dla figlów redakcye. A z całej afery pozostają wcale dwa niepochlebne wnioski, jeden dla tych, co rozreklamowawszy Or-Ota pod niebiosa, sami jego utworów nie znają, drugi dla Or-Ota, skoro jego poezye — mógł ktoś wziąć za utwory 14-letniego samouka!

Rzym 28 lutego.

Nie wesołym był ostatni dzień tegorocznego rzymskiego karnawału. Dawniej zwykle w tym dniu w Rzymie, na Corso, odbywała się zabawa t. zw. *moccoletti* (świeczek). Z nadchodzącym zmierzchem na pełnem od publiczności Corso wszyscy zapalali świeczki woskowe, zatykali je na laski, na długie patyki i tak spacerowali. Cudzoziemiec, nie mający swojej świeczki, musiał słuchać wyrzutów: O, co za wstyd! nie ma świeczki! Wystawiano je z balkonów, z okien domów, jeden drugiemu gasił je, wdrapywano się na okna, na balkony, aby zdmuchnąć albo wionąwszy chustą, założoną na kiju, zgasić ich z tuzin odrazu. Widok tego mnóstwa świeczek był ładny, zabawa oryginalna i to tak trwało do godz 9-tej wieczorem, kiedy wszyscy lecieli na bale, na veglione, do teatrów, na biby, bo karnawał się już kończył.

Tego więc nie było w tym roku, pomimo, że temperatura powróciła znowu do 13 stopni ciepła. Dużo masek na ulicach, dużo tłustych Włoszek przebranych za „bebés“, tysiące dość niesmacznych przebrań, trochę krzyków, ale ani wozów maskaradowych, ani gipsowych konfetti, ani tych świeczek.

Wieczorów prywatnych jest dosyć, na których, jak jeden z reporterów czy też kronikarzy karnawałowych z emfazą włoską powiada, towarzystwo jest „dobrane“, „tualety pyszne“, „kolacya świetna“, a „rozmowy.... genjalne“.

Kolonia artystyczna tutejsza, mająca swój klub na Via Margutta, dała wielki bal w ślicznie udekorowanej sali, zamienionej na Wenecyę. Z przedpokoju panie wjeżdżały w gondoli (ciągnionej sznurami) do sali balowej.

Tymczasem w Medyolanie znany głodomór Succi rozpoczął znowu 30-dniowy post na cel dobroczynny, a jednocześnie zebrała się konferencya przedstawicieli Włoch i Szwajcaryi celem ustanowienia planu i konwencyi co do tunelu, jaki ma być przebity przez górę Simplon. Biorą w niej udział delegaci ministeryum robót publicznych.

W kościele Lateranu kardynał-arcybiskup praski, Schoenborn, wyświęcił wczoraj msgra H. Doulcet, pasyonistę, na biskupa Nikopolis, w Bułgaryi.

W sferach watykańskich na razie najbardziej interesującą sprawą są 86 urodziny Ojca św. i rocznica koronacyi, która w niedzielę przypada. Zadziwiająca wytrwałość i siła w wątłem na pozór ciele tego św. starca. Stu kardynałów umarło już za pontyfikatu Leona XIII-go (z tych 10-iu kreowanych przez Piusa IX-go); resztę sam Leon XIII-ty wyniósł do purpury i pochował. Jeden tylko kardynał Mertel — urodzony pod Civitavecchia — starszy jest od Papieża, ma lat 90, gdyż urodził się w r. 1806-ym. Co prawda, kardynał Mertel nie jest księdzem, ale tylko dyakonem. W sobotę tedy Leon XIII-ty przyjmować będzie powinszowania św. kolegium i wyższych dygnitarzy swego dworu. Dziekan kardynałów, Monaco la Valetta, odczyta adres z powinszowaniem, na który Papież odpowie alokucyą. Być może, iż Ojciec św. w przemowie swojej dotknie znowu stosunków Stolicy Apostolskiej z rządem, dlatego przemowy wyczekują z interesem. W niedzielę Leon XIII-ty odprawi mszę w kaplicy sykstyńskiej przy licznym udziale zaproszonych osób.

Dla księcia Neapolu karnawał skończył się zachwianiem małżeństwa z księżniczką angielską Maud. Jak gdyby dla pociechy, mówią o nowych projektach małżeństwa z córką ks. Parmy, to znów z córką hr. Caserty, ale zdaje się, że to tylko plotki. Powodem rozbicia się małżeństwa było to, że księżniczka odmówiła zmiany religii.

Taki to pozostał niesmak po karnawale. Zresztą niech co chcą mówią, ale ponad wszelkie karnawały przekładam czar wiosny. A ta nas chyba już nie zawiedzie; zawiał wiatr sirocco, niosący ciepłe, podmuchy afrykańskie, na dworze ciepło i słońce, więc zanosi się już porządnie na wiosnę. Nie wiem, czy to także zaliczyć do wpływów wiosny, dość, że w tutejszym „Circo della Caccia“ (klub myśliwski) wybuchł mały skandalik. Klub myśliwski, posiadający wspaniały lokal na rogu Corso i Piazza Colonna, jest klubem arystokratycznym, gdzie czasem idą grube gry. Otóż młody attaché ambasady włoskiej w Berlinie, hr. Visone, syn ministra dworu włoskiego, zgrał się w tych dniach i wstawszy od bakkaratu, nie miał czem zapłacić 20.000 lirów, więc wyjął książeczkę czekową i wypisawszy czek na jeden z domów bankierskich berlińskich na 25.000 lirów, kazał sobie resztę wypłacić przez kasyera klubu. Z Berlina, skutkiem listu kasyera, przyszła odpowiedź telegraficzna od bankiera, że hr. Visone nie ma żadnego kredytu w tym banku, a hr. Visone sam znikł tymczasem bez wieści. Tutejsi młodzi attachés ambasad są prawie wszyscy graczami, ale między nimi są i ludzie bogaci, do tego, z prawa, są członkami klubów. Ten nowy skandalik, któryby można zatytułować „Bakkarat i dyplomacya“, narobił tu wrzawy, zwłaszcza z powodu podejścia, jakiego ofiarą padł kasyer klubowy.

Walne zgromadzenie

gal. Tow. gospodarskiego.

Lwów 6 marca.

W dalszym ciągu wczorajszego rannego posiedzenia dokonano wyborów 4 członków komitetu. Na 63 głosujących zostali wybrani: dr. Włodzimierz Kozłowski 61 głosami, Tadeusz Langie 59, ks. Witold Czartoryski 54, Oktaw Schnell 36 głosami.

Odczytano następnie telegram, wystosowany przez Towarzystwo rolnicze krakowskie na ręce delegata p. Męcińskiego, w którym Towarzystwo to zaprasza Towarzystwo gospodarskie lwowskie na uroczystość jubileuszową, jaką Towarzystwo krakowskie w r. b. obchodzić będzie. Przyjęto zaproszenie do wiadomości.

Z porządku dziennego miał członek komitetu p. L a n g e fachowy wykład o doświadczeniach i próbach praktycznych upraw w różnych okolicach kraju. Interesujący ten dla rolników wykład wywołał dyskusyę, w której wzięli udział pp. Krzysztofowicz, Hordyński, bar. Julian Brunicki, Brayer, St. Ostaszewski i prof. szkoły rolniczej dublańskiej Szyszyłowicz i Pomorski, oraz sprawozdawca p. Lange. Zgromadzenie przyjęło do wiadomości referat p. Langego.

Po przerwie przewodniczący hr. Stadnicki zawiadomił zebranych, że w myśl onegdajszej uchwały wysłany został do Koła polskiego telegram, na który przyszła dziś od prezesa Koła następująca odpowiedź: „Bardzo dziękuję za wczorajszy telegram. Koło uchwaliło domagać się stanowczo obniżenia kontyngentu podatku gruntowego niezawiśle od reformy podatku osobisto-dochodowego. *Filip Zaleski*“. Następnie odczytał sekretarz zapadłe na wczorajszem poufnem posiedzeniu uchwały:

Wnioski oddziału Brzeżańskiego w sprawie wydania ustawy robotniczej i służbowej, oraz w sprawie opustu podatku gruntowego od zalesionych parcel i uzyskania subwencyi na zalesienie wydm; dalej wnioski oddziału lwowskiego: w sprawie sporów o oznaczenie granic posiadłości gruntowych; w sprawie ugruntowania powagi ksiąg gruntowych w sporach o posiadanie; w sprawie książeczek służbowych i połączenia ich z paszportem wojskowym; wreszcie w sprawie uchylenia wyzysków i sekatur przy poborze krajowego podatku konsumcyjnego w browarach, — zostały po wyczerpującej dyskusyi przekazane komitetowi do rozpatrzenia i załatwienia w sposób, jaki komitet dla każdego z powyższych wniosków za najodpowiedniejszy uzna. Uchwały te przyjęło zgromadzenie do wiadomości.

W sprawie utworzenia oddziału Nadworniańskiego Towarzystwa gospodarskiego, zapadła na poufnem posiedzeniu następująca uchwała: Rada ogólna zezwala na wydzielenie powiatu Nadworniańskiego z obrębu Stanisławów-Bohorodczany-Nadwórna i poleca komitetowi, aby się zajął organizacyą nowego oddziału Nadworniańskiego. Uchwałę tę zatwierdziła rada ogólna na jawnem posiedzeniu.

Sprawozdanie komisyi rachunkowej co do zamknięcia rachunków za rok 1894 i co do budżetu na r. 1895 przedstawił p. Kazimierz R o j o w s k i. Suma potrzeb, przedstawionych w budżecie na r. 1895, wykazuje 9653 zł. 94 ct. na to pokrycie z własnych źródeł 7507 zł. 08 ct Gdy część obowiązkowa oddziałów na r. 1895 biorąc za podstawę dochody oddziałów według wykazów w kwocie 7156 zł. 20 ct. według dotychczas opłaconej stopy procentowej tj. 30% wystarcza, przeto komisya rachunkowa wnosi:

I. Rada ogólna przyjmuje budżet w roku 1895 w jego całej osnowie, uchwala rozkład niepokrytych potrzeb w sumie 2146 zł. 86 ct. na oddziały według stopy 30%.

II. Należytości obowiązkowe każdego oddziału mają być w roku 1895 w całości do kasy komitetu wniesione.

Nadto uchwalono udzielić komitetowi absolutoryum za rachunki z roku 1894, oraz wyrazić uznanie i podziękowanie prezydyum komitetu, członkom komitetu, oraz współpracownikom za trudy, ofiarność i godne wywiązanie się z zadania, spełnionego przy sposobności powszechnej wystawy krajowej w roku 1894. Podnieść jeszcze musimy, że fundusz zapasowy (żelazny) wynosi 13.287 zł. 26 ct., a fundusz stypendyjny 73.702 zł. 50 ct. Wszystkie powyższe wnioski uchwalono jednogłośnie bez żadnej dyskusyi, poczem wybrano przez aklamacyę na rok przyszły komisyę rachunkową w tym samym składzie, co w roku ubiegłym, mianowicie weszli do niej pp.: Śmiałowski, Rojowski i br. Brunicki.

Z porządku dziennego wygłosił p. dyrektor T y n i e c k i zajmujący wykład w sprawie podniesienia sadownictwa i uprawy warzyw. Referent przedstawił następujące rezolucye:

1. Jako wstępna czynność powinno być zbadanie, czy u nas nie ma liczniejszych okolic, produkujących pewne lepsze rodzaje owoców, oraz gdzie między ludem wiejskim objawia się większe zamiłowanie w drzewach owocowych.

2. W odpowiednich okolicach urządzać peryodyczne kursa o sadownictwie, obejmujące pouczanie o zakładaniu sadów, hodowli drzew owocowych, o zbiorze, przechowaniu i zużywaniu owoców.

3. Starać się, ażeby w gminach okolic wybranych zakładano szkółki drzew owocowych z wykluczeniem szlachetnych francuskich, belgijskich lub tyrolskich odmian, bo te u nas nigdy nie wyrównają oryginalnym i konkurencyi im robić nie mogą.

4. W okolicach danych uprawiać na wielką skalę tylko dwa, a najwięcej trzy gatunki.

5. Nietylko w seminaryach nauczycielskich, ale szczególnie w niższych szkołach rolniczych, zaprowadzić praktyczną naukę sadownictwa, w taki sposób prowadząc szkółki, żeby wychodzący uczeń mógł otrzymać pewną ilość uszlachetnionych drzewek do posadzenia u siebie; do nauki prowadzenia sadów dołączyć naukę o zbiorze i najkorzystniejszych sposobach zużytkowania owoców.

6. Upraszać Wydział krajowy, aby się zaopiekował sadownictwem.

W rozprawie nad postawionemi przez prelegenta rezolucyami zabierali głos pp. br. Brunicki, Rojowski, który domagał się utworzenia w komitecie galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego sekcyi dla sadownictwa, Hohendorf, Siwicki, Brykczyński, Cielecki, oraz sprawozdawca.

W głosowaniu przyjęto wnioski referenta *en bloc*, oraz dodatkowy wniosek p. S i w i c k i e g o, ażeby komitet dołożył starań, celem wyjednania ustawy o przymusowem tępieniu chrabąszcza.

Na tem wyczerpano porządek dzienny tegorocznych obrad, a przewodniczący p. Stadnicki podziękował uczestnikom zgromadzenia za żywy udział w obradach.

Wracajmy do starego rozumu.

Z rozesłanej właśnie odezwy komitetu budowy grecko-katolickiej cerkwi w Sassowie, dowiadujemy się, że komitet wspomniany powziął szczęśliwą myśl poświęcenia tej świątyni w 50-letnią rocznicę panowania Najmiłościwszego naszego Monarchy Franciszka Józefa I, tudzież, że zaprosił na protektorów budowy prócz Ekscelencyi pana Namiestnika i Arcypasterzów wszystkich trzech obrządków — także wybitnych obywateli Polaków — a tak postarał się o to, iżby w tej sprawie Polacy i Rusini wspólnie, razem działali.

Łączyć się razem, to jest stary rozum.

Trzymając się tego rozumu, wiedzieli ojcowie nasi, że w jedności — siła; złączyli się więc razem Polacy, Litwini i Rusini w jedną, nigdy nierozdzielną siłę, a twórca tej unii król Zygmunt August umierając, błogosławił tych, co jedność zachowają, a przeklinał tych, co ją rozrywają.

Tego starego rozumu trzymał się pierwszy magnat Rusi kniaź Konstanty Ostrogski; był on Rusinem, a trzeba wiedzieć, nie katolikiem, ale schyzmatykiem, a przecież matkę Polskę miłował, a Septentryony bił i pod Orszą czterdzieści tysięcy trupem położył; rozumiał bowiem, że jak każdy człowiek może mieć tylko jedną matkę, tak może mieć tylko jedną Matkę-Ojczyznę.

I dopóki matka nasza Ojczyzna silną była, byt polityczny miała i królewską na głowie koronę, wszystkie dzieci jej asystowały i mówiły: Tyś matka nasza; ale skoro ta Ojczyzna owdowiała, skoro koronę królewską utraciła, natenczas ją jedne dzieci jeszcze bardziej umiłowały — mienie i życie dla niej poświęcając; a inne zwłaszcza niektóre obrządku grecko-katol. powiedziały: Tyś nie nasza Matka, innej matki będziem sobie szukać! Szukajcie! ale daremnie, matki nie znajdziecie, chyba tylko najgorszą macochę!

I smutno było Matce-Ojczyźnie, bo dzieci jej dzieląc się i swarząc między sobą na nędzę zeszły.

W sam czas odezwał się głos Najwyższego pasterza, nawołujący nas, iżbyśmy wracali do starego rozumu — do rozumu ojców naszych. A nawołuje nas słowem krótkiem a potężnem: „Wasz naród pochodzeniem, mową, obrządkiem różnolity“ itd.

Słowa te Leona XIII-go wyrzeczone z wysokości Stolicy Piotrowej, która nigdy nie uznała rozbioru Polski, przypominają nam i zaznaczają unię naszą narodową, która streszcza się w tem, że przy zachowaniu odrębności szczepowej, — nie mają być trzy państwa, ale jedno państwo — nie mają być trzy korony, ale jedna korona, że nie mają być trzy narody, ale jeden naród. „Naród wasz“, a więc jeden naród!

Bo też rzeczywiście wszystko, co w kraju jest nasze, swojskie, rodzime — lud polski to nasz, ruski to także nasz; krew polska i ruska są tak ze sobą zmięszane, że rozdział tu niepodobny! Język polski to nasz, ruski to także nasz; szlachta jest naszą, duchowieństwo także nasze, bez różnicy obrządku; arcybiskup łaciński to nasz, metropolita ruski i arcybiskup ormiański, to także nasi — cerkwie równie jak kościoły, to także nasze.

W tem też przeświadczeniu tak królowie nasi jak i magnaci fundowali niegdyś parafie ruskie i monastery bazyliańskie zarówno jak kościoły i klasztory łacińskie. Tej samej tradycyi wierną jest i dziś zacna nasza szlachta.

Niechże tak będzie i nadal; buduje się cerkiew, niech pomagają Polacy — buduje się kościół, niech pomagają Rusini, — a daj Boże! iżby się tak działo nietylko w sprawie budowy świątyń, ale i we wszystkich sprawach tak zwanej polityki narodowej! iżby się zawsze spełniało:

„Wo imia Otca i Syna
to nasza mołytwa
Jako Trojca, tak jedyna,
Polszcza, Ruś i Łytwa!

W tej myśli złożyłem na ręce przewodniczącego budowy cerkwi w Sassowie skromny datek 10 zł., zaś wszystkich Braci tak Polaków jak Rusinów gorąco proszę:

„Wracajmy do starego rozumu!“

W Buczaczu 5 marca 1895.

X. Stanisław Gromnicki, proboszcz buczacki i dziekan czortkowski.

KRONIKA.

Lwów 6 marca.

Odznaczenia. Cesarz nadał starszemu dozorcy więźniów Pawłowi Zalewskiemu we Lwowie srebrny krzyż zasługi z koroną.

Dar. Ochotniczej straży pożarnej w Błażowej, w pow. rzeszowskim, darował Cesarz 100 złr. na sprawienie rekwizytów do gaszenia ognia.

Ze sfer adwokackich. Na listę adwokatów zostali wpisani: dr. Eliezer Schoer z siedzibą w Zaleszczykach, dr. Dawid Frey z siedzibą w Nadwórnej i dr. Kazimierz Fabry z siedzibą w Kętach. Adwokat Feliks Bucić Diwan przenosi się ze Stanisławowa do Jasła.

W Czytelni katolickiej (Kopernika l. 5) będzie mówił we czwartek 7 b. m. ks. Szczęsny Malarski: O sekularyzacyi społeczeństwa.

Zmiana nazwiska. Namiestnictwo zezwoliło p. Janowi Garguli, alumnowi IV roku w rz.-kat. seminaryum biskupim w Tarnowie, zmienić nazwisko rodowe „Gargula“ na Gawlicki.

Konkursa. Rady szkolne okręgowe w Bochni i Myślenicach rozpisały z terminem sześciotygodniowym konkurs na kilkanaście posad nauczycielskich. — Sąd powiatowy w Rawie poszukuje dwóch dyetaryuszy. — Wydział powiatowy ogłasza konkurs na posadę inżyniera powiatowego z roczną płacą 800 złr. z dodatkami. Podania do 15 kwietnia br.

Śnieżna zamieć panowała w poniedziałek w całych północnych Włoszech, poprzerywała druty telegraficzne i tak zawiała koleje, że zupełnie ruch ustał. Równocześnie nad brzegami Norwegii szalała burza z zamiecią; potonęło wiele barek rybackich i dwa statki, a ilu ludzi zginęło, dotąd nie wiadomo dokładnie, stwierdzono tylko, że z załogi owych dwóch statków uratował się tylko jeden majtek.

Książe Murat, ożeniony z księżniczką Dadiani, córką ostatniego panującego księcia mingrelskiego, dokonał samobójstwa w Tyflisie w chwili napadu melancholii, na którą od roku cierpiał. Był on bliskim krewnym hr. Agenorowej Gołuchowskiej.

Bismark czuje się bardzo niedobrze, bardzo zniedołężniał i może nie będzie mógł przyjąć niezliczonych gratulantów, którzy przybędą do niego w dzień jego urodzin, na prima aprilis. Wieść niesie, że chyba już on nie pociągnie długo, ale jego *Hamburgerka* przeczy temu i klnie się na swój bismarkowski honor, że największy Niemiec jest w tej chwili najzdrowszym z ludzi, ale tylko z pokoju swego wychodzić nie może, bo inna temperatura powietrza zaraz wywołuje mu ból w twarzy.

Towarzystwo uprawy tytoniu odbyło onegdaj pod przewodnictwem dra M. Krzysztofowicza walne zgromadzenie w sali ratuszowej. Uchwalono: zaprowadzić dwa urzędy wykupna tytoniu w Borszczowie i Horodence, a to z powodu zbyt wielkich trudności przy przewozie, następnie udać się do Wydziału krajowego z prośbą, ażeby utworzył dwie stacye doświadczalne przy szkołach rolniczych w Jagielnicy i Horodence, wreszcie uznano potrzebę ograniczenia produkcyi tytoniu tylko do liści macierzystych, a usunięcia liści odrostkowych. Uchwalono również, ażeby w przyszłości spory między producentami, dalej sprawy wydawania licencyi i inne, dotyczące produkcyi, nie były rozstrzygane, jak dotychczas w Wiedniu, lecz przydzielone zostały jednemu z departamentów krajowej dyrekcyi skarbowej. Osobna deputacya udać się ma w tych dniach do p. namiestnika z prośbą o poparcie memoryału, jaki Towarzystwo uprawy tytoniu wniesie do rządu. Z resztek subwencyi w kwocie tysiąc kilkaset złr. będzie utworzona posada trzeciego instruktora tytoniowego w Monasterzyskach.

Zima w Meranie. Piszą nam ztamtąd: U nas w Meranie kto wie czy nie sroższa zima, niż w Galicyi. Już bowiem trzeci miesiąc śnieg pokrywa ziemię i nawet przewidzieć nie można, kiedy zupełnie zniknie, gdyż właśnie z 2 na 3 marca w nocy spadł nowy. Mrozy w styczniu i lutym dochodziły do — 14° Reaum., teraz trochę cieplej, ale noce zawsze jeszcze mroźne. Zjechało się tu około, czy nawet przeszło 4.000 partyi z 7.000 osobami, wszyscy, ma się rozumieć, rozczarowani. Wielu już wyjeżdża, gdyż na północy np. w Westfalii ma być cieplej, jak tutaj. Ale to złe tj. zima w Meranie zapewne nie potrwa już długo, a więc i niezadowolnienie przebywających tutaj zniknie.

Ks. Karol Czech.

Proces hr. Kwileckiego przeciw *Köln. Ztg.* Przed sądem ławniczym w Kolonii toczył się proces, który rzuca charakterystyczne i jaskrawe światło na sposoby, używane przez aranżerów antypolskiej agitacyi dla podburzania opinii publicznej w Niemczech przeciwko Polakom. W październiku zeszłego roku zamieściła *Köln. Ztg.* artykuł pod tytułem: „Polnischer Hochmut und deutsche Demut“, znany naszym czytelnikom z podanego wówczas streszczenia, w którym pomiędzy innnemi wycieczkami przeciwko Polakom znajdował się następujący ustęp: „Doszło do tego, że Polacy mogli bezkarnie członkom niemieckich domów panujących rzucać w twarz demonstracye swoich polskich i antyniemieckich uczuć. Gdy książę Jerzy saski przebywał chwilowo jako inspektor poznańskiego korpusu w towarzystwie jenerała Seeckta w majątku polskiego hrabiego K., nie wywieszono na zamku przeznaczonym dla księcia niemieckiej chorągwi. Uderzyło to tych, którzy przygotowywali przyjęcie dla księcia, a gdy podnieśli tę sprawę, odpowiedziano im, że w zamku nie ma żadnych chorągwi. Propozycyę sprowadzenia chorągwi z Poznania odrzucono, a wreszcie, gdy o całem zajściu złożony został raport wyższej władzy wojskowej, nastąpiła odpowiedź, aby zaniechano dalszego dochodzenia. Gdy zapytamy o przyczynę takiego postępowania, znajdziemy tylko jedną odpowiedź: Obawa Polaków“.

Hr. Kwilecki, zawiadomiony o tym artykule, przesłał do *Köln Ztg.* bardzo grzecznie ułożone sprostowanie, w którem stanowczo zaprzeczył wyżej podanym faktom i oświadczył, że mu nawet przez myśl nie przeszło jakąś antyniemiecką demonstracyę urządzać. Redakcya *Köln. Ztg.* zamieściła wprawdzie sprostowanie, dodała jednak od siebie bezczelny komentarz, w którym podawała w wątpliwość prawdziwość twierdzeń hrabiego. Temu ostatniemu nie pozostawało nic innego, jak wytoczyć skargę o obrazę honoru.

Długie i staranne śledztwo przeprowadzone w Poznaniu wykazało następujący przebieg sprawy. Hr. Kwilecki przyjmował u siebie księcia Jerzego saskiego, jenerała Seeckta głównodowodzącego w Poznaniu i cały sztab oficerski. Przyjęcie było pełne serdecznej gościnności, a wszyscy oficerowie wynieśli z pobytu w Kwilczu same miłe wrażenia. Wypadek jednak chciał, że adjutant 10-tej dywizyi major Bartsch von Sigsfeld, spotkał na dworcu poznańskim słynnego Hansemana, jednego z założycieli antypolskiego związku i rozmawiał z nim o pobycie w Kwilczu. Na zapytanie Hansemana, nadmienił Bartsch, że chorągwi niemieckiej na zamku nie widział. To wystarczyło. Natychmiast poszła denuncyacya do głównego organu antypolskiej hecy i pojawił się artykuł zatytułowany: „Polnischer Hochmut“.

Jenerał Seeckt, przesłuchany przez sędziego śledczego, oświadczył najwyraźniej, że ani jego, ani żadnego innego oficera nie uderzył brak chorągwi, że nie otrzymał w tej sprawie żadnego raportu, i że w ogóle w kołach oficerskich wcale nie poruszano tej kwestyi. Takie same zeznania złożyło pod przysięgą kilku innych wyższych oficerów ze sztabu jenerała Seeckta. Jeden tylko major Bartsch nadmienił, że w przeddzień przyjazdu księcia Jerzego, hr. Kwilecki, rozmawiając z nim, zauważył, że nie posiada w swym pałacu żadnej chorągwi. Świadek wspomniał, że możeby się dało jaką chorągiew sporządzić, nie przywiązywał jednak żadnej wagi do tej sprawy.

Przesłuchany podczas rozprawy jako świadek, członek redakcyi *Kölnische Ztg.* opowiedział sądowi, że przeprowadził na własną rękę dochodzenia w Poznaniu i że posiada odpisy dwóch listów, pisanych do Hansemana przez majora Bartscha, w których ten oświadcza, że „hr. Kwilecki mógłby chorągiew wywiesić, gdyby był chciał“. Autentyczność tych listów jest wątpliwa, a zeznania Bartscha w tej mierze były niejasne. W każdym razie zdanie „hrabia Kwilecki mógłby wywiesić chorągiew, gdyby chciał“, wyraża wyłącznie osobiste zapatrywanie jednej osoby.

Z mowy obrońcy *Köln Ztg.* dra Schuffa wyjmujemy następujący ustęp: „Kwestya polska wszczęła się w roku zeszłym, gdy z najwyższego miejsca padło w Malborgu napomnienie do Niemców, aby podtrzymywali niemieckie obyczaje i niemiecką mowę. Wówczas *Kölnische Zeitung* poczuła się do obowiązku dopomódz do urzeczywistnienia tego życzenia, wystąpić przeciwko polskim wpływom i wezwać ogół do współdziałania w dziele pokrzepienia niemieckiego żywiołu. Następstwem tych usiłowań były rozmaite artykuły o kwestyi polskiej, a w jednym z nich epizodycznie wymieniono nazwisko hr. Kwileckiego. Z góry zatem oświadczam, że redakcya nie miała zamiaru hr. Kwileckiego osobiście dotykać, ani też go obrazić, chodziło o polityczne i partyjne przeciwieństwa, ale nie o obrazę“.

Trybunał zasądził oskarżonego redaktora na grzywnę w kwocie 100 marek i na ogłoszenie wyroku z motywami w *Kölnische Ztg.* i *Posener Ztg.* W motywach przyjął sąd fakt obrazy za udowodniony, a dowód prawdy za nieudany.

Eksploatacya błogosławieństwa Papieskiego. Nasze pisma radykalne podały wczoraj wiadomość, że Ojciec św. przesłał znanemu agitatorowi X. Stojałowskiemu swe błogosławieństwo z a o b r o n ę l u d u. Owóż historya tego błogosławieństwa jest następująca: W dniu 20 lutego, jako w rocznicę wyboru Leona XIII Papieżem, przesłał X. Stojałowski imieniem własnem, tudzież imieniem redakcyi wydawanych przez siebie pism „Nowy Dzwon“ i „Nowa Pszczółka“ telegram, w którym złożył Ojcu św. z powodu tej rocznicy swoje życzenia i prosił zarazem o apostolskie błogosławieństwo. Takiej prośbie Ojciec św. nigdy jeszcze nie odmówił, bo przecież jest on Namiestnikiem Chrystusa i rządzcą Jego Kościoła, opartego na miłości. Czyż więc mógłby ktokolwiek, będący przy zdrowych zmysłach, choćby na chwilę przypuścić, że, jeżeli ktoś pokornie prosi papieża o błogosławieństwo, On mu go nie udzieli. To też zupełnie naturalną była odpowiedź, jaką kardynał Rampolla przesłał X. Stojałowskiemu: „Ojciec św. łaskawie przyjął złożone mu życzenia i z całego serca udziela błogosławieństwa, o które proszono“.

Tymczasem oba pisemka X. Stojałowskiego, tudzież nasze radykalne pisma przedstawiają rzecz tak, jak gdyby Ojciec św. pobłogosławił X. Stojałowskiego za jego agitatorską działalność. Zaiste jest to nadużycie i podsuwanie Ojcu św. takich myśli, których ani On ani kardynał Rampolla nigdy nie miał.

Z Glinian donoszą nam: Zawiązane przed kilku laty „Kółko rolnicze“ odżyło dopiero w tym roku. Wspólnie z księżmi przystąpiło wielu mieszkańców obu obrządków. Ukonstytuowany Zarząd Kółka rolniczego postanowił otworzyć sklep chrześcijański. Byłoby bardzo pożądanem, aby fabryki krajowe przysłały cenniki towarów w zakres sklepów korzennych wchodzących, zaś zarządy innych kółek rolniczych wskazały rzetelne a sumienne firmy skąd pobierać można towary kolonialne.

Sztuczka akrobaty. Przed trzema laty ludzie znani w Paryżu i redaktorowie pism zaczęli otrzymywać cyrkularze nowo założonego towarzystwa dobroczynności „Obole“. Na eleganckim papierze z wyobrażeniem św. Marcina, dającego swój płaszcz ubogim, podpisany był hr. Ferdynand Fossè du Mèriel. Cyrkularz zawiadamiał o założeniu przytułku nocnego dla nędzarzy w jednej z najuboższych dzielnic miasta, na Grenelle i zapraszał do zwiedzenia go; to znów o balu na korzyść „Obole“ w Grand-Hôtelu, na którym były damy z najlepszego towarzystwa, to o koncercie w Trocadèro itd. Odbyło się nawet w Trocadèro wielkie zebranie z koncertem, na które przybyło kilku akademików, senatorów i deputowanych, a hr. Fossè du Mèriel, 35-letni może mężczyzna, ubrany niezmiernie elegancko, z sympatyczną twarzą, ozdobioną czarnym wąsem, miał wzruszającą mowę, w której nawoływał bogaczy do niesienia pomocy nędzarzom. Hrabia wydawał na dochód swojego towarzystwa pismo miesięczne *Revue de l'Obole* którego bezpłatnymi współpracownikami byli ludzie tak znani, jak: Juliusz Simon, Coppèe, Maurycy Barrès, Stefan Mallarmè, Clovis Hugues, Józef Reinach. Pani Ludwika Abbèma dawała bezpłatnie ilustracye. Główną pomocnicą hrabiego była sędziwa pani Joanna Persil, właścicielka pięknego pałacyku przy rue Pasquier, osoba bardzo pobożna i mająca liczne stosunki w sferach arystokratycznych, a oprócz tego młoda i piękna, lecz również bardzo surowa w obejściu i nabożna hrabina de Pavilly. Bale i koncerty, zarówno jak składki, zbierane po domach prywatnych w ich imieniu przynosiły znakomite dochody. Naraz rozeszła się po przedmieściu St. Germain wiadomość, że wczoraj hr. Fossè du Mèriel i hrabina de Pavilly zostali aresztowani przez szefa policyi tajnej Cocheferta i że sędzia śledczy wytacza im śledztwo pod zarzutem oszustwa. Cóż się okazuje? Oto następująca, a jednak zupełnie prawdziwa historya:

Akrobata w budzie jarmarcznej na jednem z przedmieść paryskich, niejaki Fossè, i dziewczyna złego prowadzenia, jego kochanka, Julianna Bergougnoux, przezywająca się czasem Olią Méry, postanowili pewnego pięknego poranku zmienić swoją sytuacyę społeczną. Wkrótce w Madrycie zjawiła się piękna wdówka, podająca się za francuską hrabinę de Pavilly, w towarzystwie kuzyna swojego, przystojnego i eleganckiego światowca, i pozawracała głowy hiszpańskim hidalgom. W salonach jej zaczęło się zbierać najlepsze towarzystwo. Pierwsze koszta instalacyi były pokryte z pieniędzy, przywiezionych z Francyi, a zdobytych nie wiadomo jakiemi drogami; na dalsze dawali kolejni kochankowie. Po pewnym czasie zaczęło się rwać, groziły awantury; para umknęła, a wkrótce hrabia został na jakiś czas nauczycielem francuskiego języka w jakimś klasztorze portugalskim. Pragnął on jednak czegoś lepsze-

go. Zebrał tedy szczegółowe informacye o bogatej pani Persil, przyjechał do Paryża, złożył jej wizytę: opowiedział, że był oficerem; że podał się do dymisyi, aby poświęcić się dobroczynności; przedstawił jej swoją kuzynkę panią de Pavilly, niepocieszoną wdowę, łaknącą pociechy w ocieraniu łez, i oplątał staruszkę tak pięknie, że mu dała pieniądze na „Obole" i pozwoliła obojgu ulokować się w swoim pałacyku. Wtedy został założony przytułek na Grenelle, który miał przekonać najsceptyczniejszych o pożyteczności towarzystwa, bo istniał i funkcyonował rzeczywiście, a Fossé ogłosił się prezesem i zaczął zbierać składki. Przez ogłoszenia w *Gil Blasie* zrekrutował sobie armię różnych dam, które w jego imieniu zbierały składki, za co dostawały sowite wynagrodzenie, wynoszące nieraz 40 pct. kwot zebranych. Wrzekomy hrabia głosił tymczasem światu, że właśnie przystępuje do zakładania nowych przytułków po innych dzielnicach, ale pokryjomu za pieniądze składkowe kupował nieustannie domy na imię swej wspólniczki. Możeby w ten sposób długo jeszcze zdołał wyzyskiwać łatwowiernych lub nawet dożył siwizny opromienionej sławą niezwykłej dobroczynności, gdyby nie zbytnia niecierpliwość, w której zrobił parę prostych oszustw. Pożyczył np. parę set franków od swego lokaja i — czy nie chciał mu ich oddać, czy coś innego z powodu tego zaszło — dość, że lokaj, który swego pana przejrzał nawylot, z gniewu zadenuncyował go i eksakrobata przypomni sobie zapewne swoje czasy cyrkowe, robiąc olbrzymi, ale tym razem mimowolny skok do więzienia ze sfer najarystokratyczniejszych Paryża, w których trzy lata swobodnie przeżył.

Old England. We Lwowie powstał pod powyższą firmą przed kilku tygodniami handel galanteryjny, połączony z pracownią krawiecką, w której jacyś znakomici krawcy angielscy mieli robić ubrania według najnowszej mody. Lwowska korporacya krawiecka atoli, zbadawszy tę sprawę, przekonała się, że sklep ten założyli dwaj lwowscy izraelici, niejaki Birnbaum i Schwarzwald, i aby zwabić do siebie publiczność, nie wypisali swoich nazwisk na szyldzie, lecz tylko godło „Old England", które w istocie mogło niejednego wprowadzić w błąd i utwierdzić go w przekonaniu, że ma do czynienia z jakimiś Anglikami. Korporacya krawiecka więc zaprzeczyła tym panom prawa prowadzenia pracowni krawieckiej, bo według ustawy przemysłowej prowadzić może rękodzieło tylko ten, który się wykaże, iż uczynił zadość wszystkim wymaganiom, jakie stawia ustawa przemysłowa. Ustawa zaś ta powiada, że pracownię krawiecką może prowadzić tylko ukwalifikowany krawiec i że jeśli pracownię taką prowadzi spółka lub dzierżawca, to zarówno wszyscy spólnicy jak i dzierżawca muszą być ukwalifikowanymi krawcami. W tym wypadku jednak nie uczyniono zadość przepisom ustawy. Jeden ze spólników „Old England" Feiwisch Distler recte Birnbaum jest wprawdzie ukwalifikowanym majstrem krawieckim, lecz uzdolnienia tego nie posiada jego wspólnik Schwarzwald. Birnbaumowi wolno więc prowadzić pracownię krawiecką pod własną firmą, nie wolno mu zaś czynić tego we współce z Schwarzwaldem, gdyż i on jako spólnik musi być ukwalifikowanym krawcem.

Inaczej ma się rzecz z prowadzeniem sklepu. Handel może założyć każdy człowiek pełnoletni i niekarany, lecz znów według przepisów ustawy handlowej na firmie takiego sklepu m u s i być wypisanem imię i nazwisko właściciela handlu, a m o ż e być umieszczonem obok nazwiska zaprotokołowane godło. Jeżeli handel prowadzą spólnicy, ustawa zezwala na wypisanie tylko jednego nazwiska i na dodatek „i Spka". Tymczasem panowie Birmbaum i Schwarzwald temu przepisowi zadość nie uczynili, umieścili na szyldzie tylko szumny napis: „Old England", a nazwisk swych nie wypisali. Korporacya krawiecka udała się przeto do władzy przemysłowej, a p. prezydent Mochnacki przejrzawszy akta, przekonał się, że w tym wypadku zaszło nadużycie. Polecił przeto komisaryatowi I-szej dzielnicy, aby rozkazał pp. Schwarzwaldowi i Birnbaunowi zdjąć szyld z napisem „Old England", a umieścić inny z ich nazwiskami.

Panowie ci jednak rozkazu tego nie usłuchali, wskutek czego komisaryat przystąpił do egzekucyi i kazał pachołkom miejskim zdjąć przymusowo szyld „Old England". Rozporządzeniu temu stało się zadość, szyld zdjęto i dziś sklep przy ulicy Akademickiej jest bez szyldu.

Korporacya krawiecka wniosła nadto do władz przemysłowych petycyę, aby one wszystkim sklepom we Lwowie, które na szyldzie wypisane mają tylko godło, jak np. „Bazar akademicki", „Louvre" itp., poleciły umieścić na szyldzie nazwisko kupca, Zdarza się bowiem często, że kupiec, który już kilka razy ogłaszał lekkomyślną krydę otwieta nowy skłep aby zaś publiczność nie wiedziała z kim ma do czynienia, zamiast nazwiska zamieszcza na szyldzie tylko godło; w ten sposób nieraz publiczność w błąd wprowadza.

Zmarli. Stanisław Niedzielski, znany muzyk, jeden z założycieli opery polskiej we Lwowie, przez pewien czas dyrektor krakowskiego towarzystwa muzycznego, a potem dyrektor „Lutni" łódzkiej, umarł w Warszawie. Niedzielski był autorem bardzo spopularyzowanych krakowiaków i innych drobiazgów muzycznych. W młodszych latach posiadał ładny baryton i śpiewał w operze.

Stan powietrza. T. o 8 rano —5° R. w poł. —1° R. Bar. 765. Idzie w górę. Pogodnie. Ostry wiatr północno wschodni.

Szczyt uprzejmości: podać ramię lokomotywie w chwili, gdy pociąg z wysiłkiem wchodzi pod górę.

Z aforyzmów.

W słowach tylko chęć widzim, w działaniu potęgę; trudniej jeden dzień przeżyć, niż napisać księgę.

Pierwsza mowa szatana do rodu ludzkiego zaczęła się najskromniej od słowa: dla czego?

Gdy pełnisz cnotę, cierpisz trudy i kłopoty, jeszcześ nie jest cnotliwym, tylko szukasz cnoty.

Za co człowiek na bliźnich tak często uderza, jak na dzikie zwierzęta? Bo w sobie ma zwierza.

Teatr. Dziś we środę „Ciepła wdówka", komedya w 3 aktach M. Bałuckiego. Jutro we czwartek „Madame Sans-Gêne", komedya w 4 aktach W. Sardou. W piątek „Ciepła wdówka" i „Barkarola", obrazek dramatyczny w 1 akcie Maryana Gawalewicza.

Literatura i Sztuka.

* **Koncert Rubinsteinowski.** W piątek dnia 8. b. m. urządza galicyjskie Towarzystwo muzyczne koncert, który dla niezwykłości swojej, nie odbędzie się w sali Towarzystwa, lecz w sali Domu narodnego.

Koncertem tym, poświęconym wyłącznie Rubinsteinowi, pragnie Towarzystwo złożyć hołd pamięci znakomitego muzyka, który zawsze życzliwie się zachowywał wobec nas, a przed rokiem jeszcze na zaproszenie dyrekcyi Towarzystwa, aby przybył do Lwowa dyrygować „Mojżeszem" odpowiedział nader uprzejmie. Niestety śmierć jego zniweczyła te zamiary.

W koncercie piątkowym wezmą udział oprócz chórów i orkiestry Towarzystwa, także uproszeni artyści, jak panie: Carnioli-Zapałkiewiczówna i Cudekówna, oraz pp. Dr. Szulisławski, Dr. Czerny, Sack, Bojarski, Slawiczek, Toth i Melbechowski.

Program składa się z dwóch numerów, mianowicie z symfonii „Ocean" i z opery biblijnej „Mojżesz", wypełniających oczywiście cały wieczór.

Ponieważ są to kompozycye nieznane u nas dotychczas, przeto dla zrozumienia tychże, a zwłaszcza opery dawanej w formie produkcyi koncertowej, słuchacz nie może się obyć bez poprzedniego objaśnienia, które go obznajamia z treścią kompozycyi.

Otóż „Ocean" jest obok „dramatycznej" najwyżej cenioną i najczęściej wykonywaną symfonią, z pośród pięciu skomponowanych przez Antoniego Rubinsteina. Mimo tytułu, pociągającego za sobą przypuszczenie muzyki programowej, spotykamy się tu z formami zdradzającemi, iż kompozytor bliższy był wzorów Beethovena i Mendelsohna, niż późniejszych prądów muzyki symfonicznej. Bo też Symfonia należy do utworów środkowego okresu działania kompozytorskiego Rubinsteina, wiadomo zresztą, że zmarły niedawno mistrz, jako kompozytor, prędzej może być uważany za epigona romantyków, niż za adherenta wagnerowskiej i lisztowskiej szkoły. I w symfonii „Ocean", osnowę stanowi nie z góry nakreślony program, ale raczej szeroko zarysowany obraz niezmierzonej wielkości, potęgi pełnej majestatu i spokoju, oraz tajemniczości, z jaką objawia się tu piękno przyrody. Tonacya c-dur, pomysły melodyjne jasne, prostota i szerokość w rysunku całości, odtwarzają szczęśliwie intencye poetyckie kompozytora i wywołują wrażenie na słuchaczu. Dzieło to swoje, Rubinstein w rozmaitych odstępach czasu rozszerzał, dodając coraz nowe części, tak, że wzrosły one do liczby siedmiu. U nas jednak, podobnie jak i zagranicą, wykonane będą tylko cztery części, z których trzy należą do pierwotnego układu, a jedynie Scherzo wzięte jest z późniejszych dodatkowych części. W tej formie dzieło nie nuży rozwlekłością i tworzy najpiękniejszą całość.

„Mojżesz" należy do rzędu oper tak zwanych biblijnych, których myśl zajmowała Rubinsteina całe życie. Pragnąc ilustrować muzyką barwne obrazy Wschodu, Rubinstein błądził jedynie tem, że usiłował im nadać szatę sceniczną, co w obec niepodobieństwa stworzenia akcyi z kilku tylko momentów, mających w sobie pierwiastek dramatyczny, było rzeczą niemożliwą i na scenie zwyczajnie się nie udawało. Jedynem miejscem dla tego rodzaju utworów jest estrada koncertowa, i tak też one przeważnie wykonywane bywają. „Mojżesz" jest ostatnim tego rodzaju dziełem Rubinsteina.

Z dwóch obrazów znajdujących się na programie koncertu Towarzystwa muzycznego pierwszy rozgrywa się wśród oazy w pustyni Midianickiej, w pobliżu góry Horeb. Zipora, córka kapłana midianickiego, spoczywa w cieniu palm i marzy, dziewczęta idące do studni po wodę zatrzymują się przy niej, wtórując swym śpiewem smętnej jej piosnce. W tem wpadają dzicy Edomici i chcą porwać je, potężne jednak słowa nieznajomego męża, który się niespodzianie pojawia, rozpraszają napastników i ratują dziewczęta. To Mojżesz. Kapłan Jethro zaprasza wybawcę do domu swego, ten jednak wymawia się, prosząc o chwilę samotności dla skupienia ducha. Modli się, a w tem krzak goreć zaczyna i dają się słyszeć chóry niebieskie. W rozmowie z Panem, otrzymuje posłannictwo, a ogólny śpiew na cześć Jehowy rozlega się na zakończenie obrazu.

Następująca część przenosi nas w ślad za ludem izraelskim na pustynię u podnóża góry Synai. Jehowa zesłał mannę. Zewsząd dają się słyszeć radosne okrzyki. Ogólnej tej radości nie podziela jednak Zipora, zwierzając się ze swych wątpliwości i obaw przed jedną z dziewic izraelskich, imieniem Miriam. W słowach natchnionych Miriam uspokaja swą przyjaciółkę, poczem kreśląc urocze obrazy rodzinnej krainy, prorokuje Izraelowi lepszą przyszłość. Następnie Mojżesz w towarzystwie Arona i Lewitów dzieli lud na 12-cie plemion. Lud przyjmuje to radośnie. Uroczysty śpiew kapłanów, okrzyki „hosanna" i towarzyszące im grzmoty — wszystko to tworzy tajemniczą, pełną powagi chwilę, po której następuje wygłoszenie dwunastu przykazań. Skoro jednak tylko Mojżesz oddalił się, wśród ludu występuje młody wichrzyciel Korah. Ognistą swą mową sprowadza go na drogę nieprawości a zbuntowany lud w krótkim czasie stawia sobie złotego cielca i wznosząc okrzyki na jego cześć, zawodzi dzikie tańce. Powracający Mojżesz na widok ten, rozbija tablicę z przykazaniami, ludowi zaś przepowiada czterdziestoletnią wędrówkę po pustyni. Ogień pożera buntownika Korahę. Chór duchów ciemności oraz chóry ludu i niebieskich zastępów łączą się w śpiew, stanowiący zakończenie tego obrazu.

Dwie części opowiedziane powyżej, są bez zaprzeczenia najbardziej zajmujące z całego dzieła i właściwie podają najgłówniejsze momenta tegoż. Że nadto, dają się dobrze w całość łączyć, przeto razem zostały umieszczone w programie.

Z izby sądowej.

Proces studentów tarnopolskich.

Tarnopol 5 marca.

(Drugi dzień rozprawy)

Dziś przed południem zakończono przesłuchanie oskarżonych o zbrodnię stanu i obrazę majestatu. Wszyscy oskarżeni wypierają się z całą stanowczością wszelkiej winy. Największe zajęcie budzi przesłuchanie głównego oskarżonego, kandydata adwokackiego Mścisława Wacława Borzemskiego ze Lwowa, który stara się zbić wywody oskarżenia. „Nie poczuwam się — powiada on do zarzuconej mi winy. Mojem jedynem dążeniem było i będzie zawsze odzyskanie niepodległości Polski, a dążenie to przebija się we wszystkich prawie czynnościach mego życia. Oskarżenie zarzuca mi, że w roku 1891 byłem obwiniony o podobną jak obecnie zbrodnię, że należałem do towarzystwa o tendencyach zakazanych. Oskarżenie owo wniesiono na podstawie denuncyacyi niejakiego Jana Jachny, który wrzekomo miał mnie widzieć na wiecu delegatów owego tajnego towarzystwa w Tarnopolu. Przy konfrontacyi ze mną cofnął Jachna swe zeznania a w końcu wstrzymano całe śledztwo na życzenie Najjaśniejszego Pana i w ten sposób moja niewinność nie mogła wyjść na jaw. W bliższych stycznościach z tutejszą młodzieżą nigdy nie pozostawałem, co się zaś tyczy czasopisma „Życie", którego redaktorem i założycielem ja byłem, to stanowczo twierdzę, że nie było ono organem tajnego związku. Że „Życie" młodzieży tutejszej się podobało, nie może służyć jako dowód, że byłem w styczności z tą młodzieżą, ani też nikt zarzutu mi z tego zrobić nie może. Moje częste podróże do Tarnopola miały ten powód, że starałem się o posadę koncepisty przy magistracie tarnopolskim a następnie, że prowadziłem proces o spadek w tutejszym sądzie. Jako wydziałowy „Towarzystwa oświaty ludowej" miałem sposobność poznać oskarżonych Chabina i Zubczewskiego. Na ich prośbę wypracowałem im sprzeciw przeciw aktowi oskarżenia o zbrodnię obrazy majestatu. Prokuratorya państwa wyzyskuje wprawdzie te okoliczności, jako materyał obciążający mnie, sądzę jednak, że to właśnie posłuży mi dla mej obrony. Nie jestem przecież tak naiwnym, abym oddał swe pismo w ręce sędziego śledczego i to jeszcze w sprawie, w którą, wedle aktu oskarżenia, mam być zawikłanym. Nie byłem też autorem owego projektu statutów, który z okien celi więziennej wyrzucił jeden z oskarżonych i który dozorca więzienny wyłapał. Miałem wprawdzie bardzo ładną (z ironią) i dobrze położoną kaźnię, ale przed jej oknami była właśnie budka szyldwacha, to też było niepodobieństwem podać czegoś komuś. Spodziewam się, że współoskarżeni Kahane i Chabin będą do tego stopnia szlachetni, że przyznają, iż wyrzucenie z okna owego projektu było tylko fintą celem przyspieszenia sprawy.

Na zapytanie obrońcy, jakie ma zasady polityczne, odpowiada Borzemski: „Jestem narodowcem w ścisłem tego słowa znaczeniu i dlatego zwolennikiem każdego ruchu, dążącego do swobody i wolności. Socyalistycznym ideom sprzyjam tylko o tyle, o ile one służą wolności. Anarchizm potępiam stanowczo. Jako patryota postanowiłem sobie wpłynąć na naród i podnieść go w kierunku moralnym i ekonomicznym. Moje szczupłe dochody nie pozwoliły mi działać w tym kierunku z materyalnym pożytkiem dla narodu; natomiast czyniłem wszystko, by wpoić w młodzież idee niezawisłości i wolności, dla których walczyli nasi przodkowie."

„Wkońcu" ciągnie dalej oskarżony „zarzuca mi prokuratorya, że na urządzonym we Lwowie bankiecie na cześć Poznańczyków wykrzyknąłem »Pereat Getritz!« dlatego, że ten pan wzniósł toast na cześć Cesarza, który — jak się wrzekomo miałem wyrazić — nie jest naszym monarchą z woli narodu, lecz z mocy konieczności. Na ten zarzut oskarżenia oświadczam, że nic nie mam przeciwko temu, jeśli ktoś wzniesie okrzyk na cześć Cesarza; jednakże wtedy, wobec obrazu Styki „Polonia" nie był on na miejscu, dlatego wyraziłem swe niezadowolnienie przez okrzyk »Pereat Getritz!«"

Okoliczność ta nie dowodzi więc wcale, że starałem się podburzyć słuchaczy do pogardy i nienawiści przeciw osobie Cesarza, przeciw jednolitemu związkowi państwowemu cesarstwa i przeciw administracyi państwa. Dla mnie byłoby niemożliwością wnieść w obliczu „Polonii" toast na cześć Cesarza. My Polacy — kończy oskarżony swoją obronę — uważamy tylko Moskali i Prusaków jako naszych wrogów. W Austryi Polacy nazwać się mogą szczęśliwymi, gdyż Cesarz czyni dla Polaków wszystko co może. To jest nietylko moje credo polityczne, ale także całej polskiej młodzieży.

Następnie przesłuchano oskarżonego Sawickiego ze Lwowa, który tak, jak wszyscy inni oskarżeni wypiera się winy. Na tem zakończono przedpołudniową rozprawę.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 4 marca.

(Z.) Rozpłata zobowiązań ultimowych, która jak wiadomo odbędzie się pojutrze, trzyma na razie giełdę w szachu, to też ruch zwyżkowy nie może się rozwinąć, jakkolwiek ochoty ku temu nie brak. W Peszcie rozpłata odbywała się już dziś i nie pociągnęła za sobą żadnego nowego bankructwa, co każe się spodziewać, że i w Wiedniu nie będzie żadnych kataklizmów. To też jakkolwiek ruch dziś był bardzo ospały i ani spekulanci, ani arbitraż nie rozwinęli prawie żadnej działalności, mimo to jednak kursa powoli posuwały się naprzód i ostateczne notowania są przeważnie bodaj o kilkadziesiąt centów wyższe od sobotnich. Z wielką niecierpliwością oczekują spekulanci publikacyi bilansów mniejszych banków tutejszych. O ile dotychczas wiadomo, bankverein da podobno 8 zł. dywidendy tj. tyle ile w roku ubiegłym, anglobank 9 zł., tj. o 1 zł. więcej, unionbank prawdopodobnie 17 lub 18, zatem o 1—2 zł. więcej. W Berlinie nastaje ogromne ożywienie na targu walorów górniczych, osobliwie akcyi kopalni węgla. Powodem tego jest ta okoliczność, że skutkiem ostrej zimy zużyto w tym roku ogromne masy węgla tak, że wiele magazynów jest zupełnie wypróżnionych, a przyczynia się do tego także poniekąd pogłoska, że w Anglii zanosi się na nową bastówkę węglarzy.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 397·—, węgierskie 470.25, Anglobanki 178·—, Uniony 321.50, Bankvereiny 156.40, Länderbanki 289.—, Ludwiki 221·—, Czerniowieckie 308·50, Elbathale 278·—, Renta papierowa 101·55, srebrna 101·65, austryacka złota 125·10, 4%. austr. renta wal. kor. 101·15, węgierska złota 124.20, 4%. węgierska renta wal. kor. 99.35, dukat 5·80—, 20-frankówka 9·80, marki 12·08, ruble 1·32¼.

Wiedeń 4 marca. Spirytus 15·40—15·50.

§ **Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.**

K r a k ó w 5 marca.

Mrozy i śniegi, które leżą, dotychczas nie wywołały wprawdzie obaw o stan ozimin. Jednakowoż w każdym razie roboty wiosenne opóźnią się, która to okoliczność, obok braku dowozów, wywołała na targach zbożowych usposobienie zwyżkowe. Przytem pokup na wszystkie prawie gatunki zboża ożywił się, gdyż z jednej strony młyny zaopatrują swe potrzeby, z drugiej spekulanci wykupują zboże na miejscu, tak, że z tygodnia na tydzień ceny się podnoszą. Na dzisiejszym targu na Kleparzu do większych obrotów nie przyszło wprawdzie, gdyż zapasy są małe, a nadto właściciele zboża wstrzymali się ze sprzedażą, stawiając wygórowane żądania, lecz partye, które były na sprzedaż, po lepszych cenach znalazły nabywców.

Płacono pszenicę białą 7·25 do 7·75, czerwoną 7·20 do 7·60, żółtą 7·20 do 7·60, żyto 5·85 do 6·20, jęczmień browarny 6·00 do 6·50, na kaszę 5·25 do 5·70, owies 5·80 do 6·50 zł., rzepak —·— do —·—. Koniczyna czerwona 50 do 70, biała —·— do —. tymotka —·— do —·— zł., wyka 5.75—6.25; bób 0.00—0.00 zł. Wszystko za 100 kilogramów.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

§ **Z targu na bydło.** Wiedeń 4 marca. Na dzisiejszy targ dowieziono wołów galicyjskich 1018, wołów węgierskich 3228 i wołów niemieckich 1402, razem 5648 sztuk. Płacono za woły galicyjskie lichsze lekkie 52 do 54, dobre ciężkie 55 do 57, prima 58 do 60 za 100 kilo mięsa, za buhaje i krowy 20 do 33 na wagę żywą.

Teodor Romaszkan, dom komisowy bydła, Wassergasse 23.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 6 marca. Izba panów przyjęła prawie bez zmiany ustawę przeciw fałszowaniu żywności.

W Izbie posłów toczyła się wczoraj debata nad reformą podatkową. Pierwszy przemawiał młodoczech p. Kaizl i bardzo lekceważąco krytykował cały projekt reformy. Opusty podatkowe, przewidziane w projekcie, są tylko pułapką, a cały system podatku dochodowego faworyzuje tylko interesa klas. Nadto zarzucił mówca, że najmniej opodatkowanym nie przyznano prawa wyborczego, pomimo, że minister przyobiecał to.

Następnie przemawiał członek lewicy dr. Fux i również krytykował niektóre postanowienia przedłożenia, a zwłaszcza to, że nie uwzględnia ono biednych gmin. W każdym jednak razie projekt tej reformy jest wielkim postępem w porównaniu z dzisiejszymi stosunkami i zawiera tak zdrowe zasady, że mówca przyczyni się do tego, aby je urzeczywistniono. Mówca pragnie, ażeby stopę podatkową dla małych kas oszczędności zniżono z dziesięciu na dwa procent i ażeby zupełnie uwolniono od podatku ich fundusze rezerwowe w razie, jeżeli nie wynoszą jeszcze 5 pct. wkładek.

P. Luzzato (poseł z Tryestu) dowodził, że reforma ta będzie nieszczęściem dla ludności opodatkowanej, a zwłaszcza dla średnich klas. Komisya w niczem nie poprawiła projektu, natomiast obostrzyła jeszcze fiskalne postanowienia. Postanowienia nowego projektu są tak chaotyczne, że ani ludzie płacący podatki, ani organy skarbowe nie będą mogły dójść z niemi do końca. Co się tyczy Tryestu, to absolutnie niepodobieństwem jest wprowadzić tam nowych podatków bez równoczesnego polepszenia dzisiejszego smutnego położenia tego miasta, albo też przyznania mu odpowiedniego odszkodowania. Ze względu na to, że projektowana reforma jest dla Tryestu bardzo niebezpieczna, głosować będą reprezentanci tego miasta przeciw przejściu do debaty szczegółowej.

P. Kaiser rad jest z tego, że w projekcie tym nareszcie na seryo traktowana jest myśl wprowadzenia progressywnego podatku dochodowego. Mówca pragnie jednak, ażeby zniżono podatek, opłacany od dochodu, płynącego z pracy, i ubolewa, że kas zaliczkowych systemu Raiffeisena nie uwolniono zupełnie od podatku. Projektowi podatku rentowego sprzeciwić się musi każdy, kto ma jakie takie poczucie sprawiedliwości. W ogóle cały projekt jest chybiony, a jedyna rzecz dobra w nim, jest podatek osobisto-dochodowy. Dziesięcioprocentowy opust w podatku gruntowym jest jałmużną, która na nic się nie zda rolnictwu, walczącemu dziś ciężko o swą egzystencyę, niesprawiedliwem zaś jest opodatkowanie sklepików rolniczych, gdyż musi wywołać podrożenie środków żywności. Ostatecznie pragnie mówca, ażeby przed przystąpieniem do trzeciego czytania wyjaśniono zupełnie kwestyę prawa wyborczego, gdyż przez nominalne zniżenie podatku wiele osób, mających dziś prawo wyborcze, utraciłoby je.

Dalszy ciąg debaty odbędzie się dziś.

Wiedeń 6 marca. W hotelu Sachera odbył się wczoraj bankiet, urządzony przez Koło polskie na cześć ministrów Jaworskiego i Madeyskiego. Pierwszy toast na cześć obu ministrów wzniósł prezes Koła p. Zaleski i dziękował im za to wszystko, co już dla kraju zrobili. Wprawdzie rząd dzisiejszy za krótko jeszcze urzęduje, ażeby działalność jego mogła ujawnić się w większych pracach, wszelako wiele takich prac znajduje się albo w stadyum przygotowań, albo już w stadyum obrad, i jest nadzieja, że będą pomyślnie załatwione i że ministrowie nasi uwzględnią przytem nasze życzenia i potrzeby, jak to zawsze dotychczas czynili. Koło polskie winno im za to wdzięczność, tem bardziej, że zna wszystkie trudności, jakie oni napotykają, i ich wielką odpowiedzialność wobec Monarchy, państwa i jego krajów, tudzież historyi. Wkońcu podniósł mówca, że Koło polskie, uznając konieczność koalicyi, dołoży wszelkich starań, aby ona sprostała swemu zadaniu; nie porzuci jednak swych zasad i tradycyi, co mu przyjdzie tem łatwiej, że obaj ministrowie zawsze ich bronili i wstępując do gabinetu, bynajmniej ich nie porzucili.

Minister Jaworski podziękował za ten dowód uznania i zapewnił, że obaj ministrowie czują się zawsze członkami Koła polskiego i pragną zawsze być z nim w styczności i popierać wszystkie jego zasady i życzenia, które odpowiadają interesom państwa i kraju.

Minister Madeyski, nawiązując do słów p. Zaleskiego o trudnem położeniu ministrów w gabinecie koalicyjnym, zaznaczył, że jakkolwiek obaj ministrowie Polacy dobrze znają swe obowiązki w obec Cesarza, państwa, krajów i historyi, które powinny być na pierwszym planie, nie zapominają także ani na chwilę o tem, że obowiązkiem ich jest także czuwać nad tem, ażeby te polityczne zasady, które Koło polskie na razie usunęło na drugi plan, były jako skarb polityczny zachowane, nietknięte i nie narażone na żadne niebezpieczeństwo. Starają się także ministrowie gorliwie o to, ażeby zasada równorzędności Koła polskiego w łonie koalicyi nigdy nie została uszczuplona. W obec tego należy się spodziewać, że pomiędzy Kołem a obu ministrami istnieć będzie zawsze stosunek, oparty na wzajemnem zaufaniu i szczerości.

Szereg toastów zakończył ks. Ruczka staropolskiem „kochajmy się".

Paryż 6 marca. Izba deputowanych rozpoczęła wczoraj debatę nad budżetem wojennym. Sprawozdawca tego budżetu Roche porównywał siłę zbrojną Niemiec z siłą Francyi i dowodził, że Niemcy wyprzedziły na tem polu Francyę. Dlatego też pragnie mówca, ażeby stan pokojowy armii francuskiej podwyższono z 406.000 na 542.000 ludzi i gani zarządowi armii to, że 37.000 ludzi przed wysłużeniem całego przepisanego okresu odesłano do domów na urlop. W końcu pragnie mówca, ażeby jednostkę taktyczną, t. j. batalion zorganizowano tak samo jak w Niemczech.

Dalszy ciąg tej debaty odbędzie się jutro.

Wiedeń 6 marca. Za poprawką p. Schorna, żądającą restytucyi w kodeksie karnym paragrafu przeciw wolnomularzom, głosował, oprócz wymienionych wczoraj dziesięciu posłów polskich, także p. Henzel. Głosowanie to nie było złamaniem solidarności Koła, gdyż paragraf ten ma charakter wyznaniowy, a zatem każdemu posłowi przysługiwała swoboda głosowania tak, jak uznał za właściwe.

Peszt 6 marca. W Banacie skutkiem szybkiego tajania śniegu wezbrały wszystkie rzeki i kanały. Jacyś zbrodniarze przebili kanał Morawicy koło Margitty, skutkiem czego woda zalała część tej miejscowości. Rzeka Temesz w kilku miejscach wylała. Sytuacya bardzo groźna. Mieszkańcy wsi nie chcą brać udział w pracach ratunkowych, to też w wielu miejscowościach przyszło do starcia z żandarmami. Kazano żołnierzom pracować nad wznoszeniem grobli i odprowadzaniem wody.

Wiedeń 6 marca. Komisya dla reformy wyborczej wszystkimi głosami przeciw sześciu odrzuciła wniosek młodoczecha p. Brzorada, ażeby posiedzenia subkomitetu były jawne.

HOTEL IMPERIAL.
KRZYSZTOF JANOWICZ
Lwów — ul. Trzeciego Maja l. 3.

Przyjechali dnia 5 marca. A. książę Poniński z Krakowa. S. hr. Jabłonowski z Zagwożdzia. S. Stawiarski z Jedlicza. A. Volter z Tłumacza. S. Bohdanowicz ze Lwowa. J. K[illegible]szowski z Perekos. H. Mierzeński z Dubowicy. G. Charisiadis z Grecyi. W. Tarnawiecka z Rosyi. H. Tender z Berlina. E. G. Hamlet z Londynu. S. Hilffer z Wiednia.

HOTEL EUROPEJSKI.
ALBERT SZKOWRON i Spółka.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 5 marca. J. Zieniewicz z Daszawy. J. Gizowski z Sambora. St. Płotnicki z Żytomierza. A. Łobodziński z Dekowy. K. Sand z Brunświku. M. Mochnacki z Rzyczki. M. Podlaszewska z Wygnanki. J. Sokołowska z Przemyśla. Dobrzańska ze Złoczowa. Machnowska ze Złoczowa. J. Teuschert z Salzburga.

HOTEL ŻORŻA.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 5 marca. A. Hulimka z Mycowa. P. Tyszkowski z Rybotycz. Exc. L. Fabini z Wiednia. K. Schuel z Ustyac. J. Klastersky z Drohowyża.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 6 marca (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 220·— do 223·—, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 307.50 do 310 50, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 455.— do —.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku pipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 101·40 do 102·10, 5 proc. z 10 proc. prem. 110·30 do 111·—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100.30 101·—, Banku kraj. 4 i pół. proc. los. w 51 lat. 100·80 do 101.50, Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97·50 do 98·20 Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98·50 do 99·20, 4 proc. los. w 41 i pół latach 98·— do 98·70, 4 proc. los. w 56 lat. 97·80 do 98·50.

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 97·90 do 98·60 Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.— do —.—, Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.00 do 102·00 Pożyczki kraj. 6 proc. 105·50 —·—, 4 pół proc. 100.50 do 101.20, 4 proc. z r. 1891 97.70 do 98·40, 4 proc. po —·— koron z roku 1893 98·— do 98·70.

Monety. Dukat cesarski 5·77 do 5.87, Napoleondor 9.75 do 9.85, P. Imperyał 10.10 do —.—, Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.28 do 1.33, 100 marek niemieckich 60.20 do 60·70.

Wiedeń 5 marca. Notowania wieczorne Kredyty 397·—, węgierskie kredyty 468·50, anglobank 176·50, bankverein 156·00, uniony 321·75, länderbank 288·80, akcye kolei państwowych 397·—, lombardy 108.25, elbethal 278.—, akcye tytoniowe 258·09, rima 274.25, alpiny 85·60, renta majowa 101.40, węg. renta złota 124·20, austr. renta koronna 100·00, węgierska renta koronna 99.35, losy tureckie 74·10, marki 60·58, ruble 132·25.

Wiedeń 6 marca (godz. 11 w południ.) Kredyty 397.50, kred. węg. —.—, Anglobanki 176.50, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 288.60, Akcye tyton. 257.25, Staatsbahny 396.75, Lomb. (z kup.) 109.37, Elbethale —·—, Renta pap. —.—, Renta węg. 4% kor. —.—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —·—, Marki 60.40, Losy tureckie —·—.

44)

OSTATNI WYROK

POWIEŚĆ

MAKSWELLA GRAYA.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

Sława Andrzeja stale wzrastała; zdawało się, że szczęście spotęgowało jego władze umysłowe. Wielkie dzieło, o jakiem marzył oddawna, szybko kształowało się w jego głowie, choć do tej pory nie napisał jeszcze ani jednego wiersza; życie płynęło dla niego pełną falą i dziwił się sam sobie, widząc, jakiemu ogromowi pracy jest w stanie podołać teraz bez zmęczenia.

Pewnego wieczoru, już pod koniec zjazdu, upatrzył sobie wolną godzinkę przed obiadem, aby odczytać ponownie ostatni list żony i odpisać na niego. Gracya posiadała wytworny styl, pełen werwy i dowcipu, którym umiała zabarwiać najpospolitsze fakta. Czytał więc zaciekawiony sprawozdanie z jej codziennych zajęć, z wizyt, jakie odebrała w ciągu dnia, książek, które czytała, uwag, jakie one jej nasunęły; w każdym wierszu odczuwał tęsknotę wywołaną jego nieobecnością i niewysłowioną radość ze spodziewanego wkrótce powrotu. Zdawało mu się, że odczuwa wszystkie tętna tego kobiecego serca, bijącego wyłącznie dla niego i schwyciwszy za pióro, odpisał jej długi list pełne gorących wynurzeń, prosząc i nalegając, aby przez miłość dla niego szanowała swoje zdrowie i oszczędzała sił.

Zdawszy jej przytem szczegółowy raport z zatrudnień swoich w mieście, z ciekawych spraw, które podpadły pod jego juryzdykcyę, udał się na obiad do klubu, gdzie przyjemnie spędził wieczór w towarzystwie kilku kolegów. Wśród najbardziej ożywionej rozmowy doręczono mu telegram, po odczytaniu którego zbladł i spiesznie opuścił salę.

Piorun strzelił z jasnego nieba i zdruzgotał cały niebotyczny gmach jego szczęścia. Gracya była śmiertelnie chora. Musiał się bardzo spieszyć, jeżeli chciał jeszcze zastać ją przy życiu.

Trzęsącą ręką schwyciwszy za rozkład jazdy, aby się przekonać, jaką najkrótszą drogą dostać się może do Swanbourne, doznał tak dziwnego uczucia, jakby się oddawna spodziewał tego nieszczęścia. Jego miłość dla Gracyi była sprzeniewierzeniem względem Renaty; złamaniem pierwszych przysiąg małżeńskich, które go łączyły z pierwszą żoną. Dla tej umiłowanej ze wszystkich sił serca poświęcił samolubnie tamtą niekochaną, posyłając ją na śmierć; dla niej wyparł się swego własnego osieroconego przez matkę dziecka. A dziś nieubłagany los pozbawia go okrutnie tej, dla której poświęcił honor, sumienie i obowiązek. Renata była zaiste pomszczoną.

Cały wiek wyczekiwania, rozpaczy i niepokoju upłynął od chwili, kiedy nareszcie doczekał się odejścia pierwszego pociągu. Wydało mu się, że tak całe życie błądził po jakiejś pustyni bez końca, zwalczając nieprzezwyciężone przeszkody, dążąc stale do jedynego, niedoścignionego nigdy celu swych marzeń, do Gracyi, którą z kochających objęć jego wyrywała zimna dłoń śmierci. Myśli w chaotycznym bezładzie wirowały po jego mózgu. Miał to uczucie, że kiedyś, przed wiekami, na innym jakimś nieznanym, dalekim świecie, w odmiennych warunkach bytu, ona kochała go i była jego żoną. Potem bratnie ich dusze rozłączone gwiaździstemi szlakami rozesłanemi w błękitach wciąż zdążały ku sobie, pociągnięte magnetyczną siłą uczucia, i mijały się w pogoni za szczęściem wiekuistego zespolenia. Czuł to jedno wyraźnie; zresztą był odrętwiały bólem i zobojętniały na wszystko.

Dzień letni miał się ku schyłkowi, kiedy mężczyzna średnich lat, zajmujący z nim jeden przedział wagonu, podał mu gazetę, którą tylko co sam przeczytał. Dziwnem się wydało Andrzejowi, że był czas, kiedy interesował się polityką i wyborami do parlamentu. Co go to dziś wszystko obchodziło? Świat nie istniał dla niego wcale. Wciągnięty mimowoli do rozmowy z nieznanym towarzyszem podróży, odpowiadał roztargniony, obojętny, jak człowiek z za grobu mówiący o rzeczach innego świata. Wyczerpany kwestyą spraw lokalnych, nieznajomy zagadnął go o godziny pociągów, zdradzając obawę, aby nie nastąpiło ich opóźnienie.

— Tak panu pilno przybyć na miejsce? — spytał Andrzej, aby coś odpowiedzieć.

— Tak jest. Wezwano mnie telegraficznie do chorej. O ile wnosić mogę ze szczegółów podanych w depeszy, wypadek jest bardzo ciężki, prawie bez ratunku. Obawiam się, że przybędę już zapóźno.

— Czy tak? Pan jesteś doktorem?

— Jestem sir Parker Sims — odrzekł mężczyzna tonem zdającym się mówić: Jestem wielkim Parkerem, europejskiej sławy specyalistą, który dla byle kogo nie zadawałby sobie trudu jeżdżenia na prowincyę.

— Jakie to smutne — rzekł Andrzej obojętnie.

— Bardzo smutne. Młoda kobieta, posiadająca wszystkie warunki do szczęścia, piękna, zdrowo zbudowana, dziedziczka ogromnej fortuny, spotykałem ją kilkakrotnie w towarzystwie. Nie ma roku, jak wyszła zamąż z miłości, za młodego, obiecującego prawnika, szybko dobijającego się sławy. Może pan znałeś ją... panią Marlowe?

— Jestem jej mężem.

Nastąpiło uciążliwe milczenie, przerwane dopiero gwizdem lokomotywy, która z łoskotem wpadła na stacyę. Kamerdyner czekał na stacyi z oznajmieniem, że pani jeszcze żyje.

Andrzej niemal wepchnął sir Parkera do karety i sam rzuciwszy się obok na siedzenie, krzyknął na stangreta:

— Jedź, co koń wyskoczy!

— Póki jest tchnienie życia, póty jest nadzieja — rzekł doktór, gdy w milczeniu ujechali kilka mil. — Młodość działa niekiedy cuda, panie Marlowe.

— Tak; ona jest młodą, bardzo młodą — westchnął Andrzej.

Dozwolono mu tylko na chwilę stanąć przy łożu Gracyi, nad którą czuwała zapłakana matka i cały zastęp lekarzy i dozorczyń. Chora nie zdawała się świadomą jego obecności. Opuścił pokój zrozpaczony, czując na ustach żar dotknięcia ust jej spalonych gorączką.

Wyszedł na ogród, krążąc bezustannie pod lipami ze wzrokiem wytężonym w stronę jej okien, do których przez gałązki pnących róż i magnolij zaglądały blade gwiazdy nocy i promienie księżyca, milczące świadki rozgrywającej się walki życia ze śmiercią. Brzask wschodzącej jutrzenki zastał go na posterunku rozpamiętującego krótkie chwile minionego szczęśia.

Tu, na tym tarasie przystrojonym kwitnącemi krzewami, w wigilię ślubu zawołała tonem namiętnego uczucia: „Ufam ci bez granic!" i błagała go, aby ją zostawił w nieświadomości błędów swoich przeszłych. Tu w pierwszych dniach pogodnej wiosny w upojeniu szczęścia powiedziała mu cichym, drżącym od wzruszenia głosem, którego dźwięki zdawały się jeszcze drgać w balsamicznem powietrzu nocy, że razem z jego miłością nowe życie wstąpiło w jej piersi. Lato nie przekwitło jeszcze na polach, róże nie powiędły w ogrodzie, a ona leżała tam... umierająca!...

Na tem piaszczystym wybrzeżu ujrzał ją po raz pierwszy jako dorosłą pannę. Zjawiła się przed nim niespodzianie, jakby zaklęty w rzeczywistość sen majowego poranku. Zdawało mu się, że widzi przed sobą jej oczy pełne blasku cichego rozmarzenia, że czuje przyspieszone uderzenie własnego serca, że obejmuje wzrokiem tę wiotką postać owianą w obłoki białych muślinów, że czuje zapach polnych kwiatów przypiętych do jej gorsu. Tu nad tem błękitnem morzem poznał całą moc uczucia, które go przykuwało do niej i zadrżał na myśl, że ona odpłaca mu się wzajemnością.

Jak przystało na uczciwego człowieka zadał kłam własnemu sercu, usiłując stłumić przywiązanie to w samym zarodku; nie starał się o pozyskanie jej uczucia, dopóki nie mógł sumiennie sięgnąć po jej rękę. Któż mógł przewidzieć, że grób wyda napowrót umarłych? A teraz ta piękna i umiłowana nad wszystkie istoty ziemskie w samem zaraniu tej promiennej młodości zstępowała w cichą, tajemniczą krainę śmierci...

Pszczoły brzęczały wśród kwiatów zasadzonych jej ręką, róże otwierały kielichy swoje do słońca, mirty wspinały się zielonemi gałązkami aż pod okno sypialni, w której panowała cisza, przerywana ciężkim oddechem spracowanych piersi chorej z których życie ulatywało z każdą chwilą. Z bladą jak marmur twarzą, na której gorączka wypaliła ogniste wypieki, Gracya spoczywała wśród batystów i koronek, pod błękitną atłasową kotarą zbytkownego łoża, nieprzytomna i obojętna na wszystko co się działo dokoła.

Biały motyl wpadł do przyciemnionego pokoju przez uchylone drzwi i wyfrunął napowrót na słońce; tak i dusza jej czysta i nieskażona ziemskim pyłem wkrótce wzniesie swe skrzydła i uleci w krainę światłości wiecznej. Te krzaczyste oleandry płonące purpurą kwiatów, te zielone trawniki przerzynane smugami blasków, te cieniste ogrody i zbożne łany, ten biały dworzec wiejski o otwartych oknach wszystko to było jej własnością i zdawało się upominać o swoją panią.

(Ciąg dalszy nastąpi).

L. 211.

Ogłoszenie konkursu.

Wydział powiatowy w Zbarażu rozpisuje konkurs celem obsadzenia posady Inżyniera powiatowego z roczną płacą 800 zlr., z rocznym ryczałtem na konia w kwocie 200 zlr. i stosowne dyety w razie urzędowania po za miejscowością zamieszkania.

Kompetenci o tę posadę mają wnieść swoje podania do Wydziału powiatowego w Zbarażu najdalej do 15 kwietnia 1895 i przedłożyć: świadectwo z ukończonej techniki, metrykę urodzenia, świadectwo moralności, świadectwo zdrowia i świadectwa dotychczasowego zatrudnienia.

Wydział powiatowy.

Zbaraż dnia 21 lutego 1895.

T. Fedorowicz.

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski.

Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej.

Z drukarni nar, W. Manieckiego. Zarządca W. Hodak.